MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 35. (34 skonfiskowany) WARSZAWA, 19 LIPCA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

PIERWSZE OWOCE

CZTERY miesiące temu starły się na terenie Izb prawodawczych poglądy na naszą politykę w stosunku do Niemiec. Usłyszeliśmy wówczas z ust członków gabinetu Sławka, że do uregulowania tej sprawy w myśl naszych interesów dążyć należy środkami, ogólnie przyjętemi między narodami, — a więc: akceptując zasadę największego uprzywilejowania w stosunkach handlowych, a więc przez ułatwienie wjazdu i osiedlenia dla obywateli niemieckich i wogóle normalnemi metodami, które doprowadzić nas mają do „normalizacji stosunków" i „pacyfikacji wschodu Europy".

Tak nam mówili w marcu tego roku panowie Zaleski, Prystor i Doleżal, a za nimi posłuszni zamiarom i poglądom rządu Marszałka Piłsudskiego — przedstawiciele BBWR. Od tego czasu minęło cztery zaledwie miesiące. Układ likwidacyjny, ratyfikowany u nas i przez Niemców, już stał się prawem obowiązującem: dla normalizacji i pacyfikacji, tak jak ją pojmują panowie Prystor, Zaleski i Doleża, stabilizowaliśmy w Polsce 80,000 niemieckich osadników.

Jakże odpowiedziały Niemcy na to posunięcie rządów sanacyjnych?

— *Anschluss*'em, a więc dążeniem do politycznego i gospodarczego okrążenia Polski, — demonstracjami zbrojnemi na granicy polsko-niemieckiej. Od słów Treviranusa i Curtiusa — do prób *Stahlhelm*'u.

Tak wyglądają najświeższe owoce polityki, gabinetu Sławka w stosunku do Niemiec.

W polityce gospodarczej jeszcze nie zebraliśmy wszystkich jej owoców. Traktat nie jest ratyfikowany, a więc nie weszły w życie ani jego klauzule osiedleńcze ani kontyngentowe. Mamy do czynienia tylko z polityką celną Rzeszy w stosunku do Polski. Jednak ostatnie posunięcia celne, najbardziej dla nas dotkliwe zarządzenie z dnia 30 kwietnia b. r., jeszcze nie znalazło swego odbicia w stosunkach handlowych polsko-niemieckich.

Zaważyły na nich tylko zarządzenia celne niemieckie z roku ubiegłego, częściowo wydane zaraz po zawarciu Traktatu, częściowo na jesieni 1930 roku.

Jak się kształtował pod ich wpływem handel polsko-niemiecki? Przywóz ogólny do Polski w ciągu pierwszych pięciu miesięcy roku 1930 wynosił 969 milj. zł. i spadł w roku bieżącym do 676 milj., czyli o 30%. Wywóz ogólny z Polski w ciągu tych samych pięciu miesięcy wynosił: w roku ubiegłym 1065 milj., w roku bieżącym 788, czyli spadł o 26%.

Jakież są cyfry obrotu polsko-niemieckiego? Przywóz z Niemiec do Polski spadł w ciągu pierwszych czterech miesięcy roku bieżącego z 206 miljonów złotych do 136 czyli o 34% w porównaniu z rokiem ubiegłym. Natomiast eksport z Polski do Niemiec z 226 milj. do 114 czyli o 49%.

Saldo naszego handlu z Niemcami w roku ubiegłym było czynne i dało w ciągu pierwszych czterech miesięcy 20 miljonów, obecnie jest ono bierne i wynosi w tym samym czasie — 21 miljonów zł. Udział Niemiec w naszym obrocie handlowym przedstawia się w procentach tak:

w przywozie: z Niemiec do Polski:

w roku 1927		25,5%
„ 1928		26,9%
„ 1929		27,3%
w ciągu trzech pierwszych miesięcy roku 1930	—	27%
„ „ „ „ „ 1931	—	26%

Czyli że import z Niemiec pozostał w tym samym stosunku do całego naszego importu co i dawniej.

Inaczej w eksporcie. Udział Niemiec w naszym eksporcie wynosił:

w roku 1927	—	32%
„ 1928	—	34,3%
„ 1929	—	31,2%
w ciągu pierwszych trzech miesięcy 1930	—	26,3%
„ „ „ „ 1931	—	19%

W tym samym więc czasie, kiedy Niemcy za pomocą bojowych ceł zdławiły nasz eksport przeszło o jedną czwartą, kolejne rządy sanacyjne tolerują pozostawianie importu z Niemiec na tymsamym poziomie.

Czy może charakter tego importu jest tak bardzo produkcyjny, że nie można tam wprowadzić ograniczeń, nie szkodząc własnej gospodarce? Przyjrzyjmy się danym szczegółowym importu z Niemiec za pierwsze cztery miesiące b. r.

Na ogólną sumę 135 miljonów znajdujemy tam:

produktów spożywczych	na 7,3	mil. zł.
„ zwierzęcych	„ 7,3	„ „
produktów szkła i wyrobów szklanych	„ 0,47	„ „
„ papieru i wyrobów z papieru	„ 6,1	„ „
„ odzieży i konfekcji	„ 1,7	„ „
„ galanterji	„ 0,4	„ „

Czyli, że import niemiecki zawiera przeszło na 20 miljonów pozycyj o charakterze przeważnie konsumpcyjnym, nie mówiąc już o tych pozycjach, które, mając charakter bardziej produkcyjny, mogą być częściowo produkowane w kraju, częściowo sprowadzone skąd inąd.

Na razie mamy do zanotowania zachwianie bilansu naszej wymiany z Niemcami. Rachunek ten nie jest ukończony, bowiem na szali nie zaważyły jeszcze najgroźniejsze, bojowe podwyżki niemieckie z dnia 30 kwietnia b. r. A zawierają one takie pozycje jak: 40 marek za 100 kilo nierogacizny 66,66 za 100 kilo wieprzowiny, 20 marek za 100 kilo grochu i t. d.

W tych warunkach przyznane nam kontyngenty tracą wszelką wartość, a ratyfikowanie przez Niemcy traktatu handlowego nic nie zmieni na naszą korzyść.

Oto są skutki dotychczasowe polityki, prowadzonej przez rządy sanacyjne: dalszy rozwój akcji, wymierzonej przeciwko naszym granicom i zachwianie równowagi w naszym handlu z Niemcami.

A są to dopiero pierwsze owoce tej polityki.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

ROZWÓJ KONSTYTUCYJNY ANGLJI

ANGLJA jest klasycznym krajem konstytucji, jej rozwój pod tym względem przedstawia się bardzo bogato i jest dokładnie przestudjowany, a szczególne zainteresowanie musi budzić w czasach obecnych, kiedy zagadnienia z tej dziedziny narzucają się umysłom ze szczególną intensywnością.

Konstytucję angielską stworzył wiek XIII. Powstały już wówczas Izba lordów (jako ciało prawnie określone, a nie dorywcza rada o przypadkowym nieraz składzie) i Izba gmin, pochodząca z wyboru. Wiek następny przyniósł rozkład feudalizmu, który zabłysnął jeszcze trjumfami militarnemi Edwarda III i świetnością jego dworu, ale nie miał już wewnętrznej siły, aby długo utrzymać się przy życiu. Mimo to tradycje jego były zbyt żywotne, ażeby z dwóch instytucyj nad młodą nie wzięła góry starsza, tkwiąca korzeniami w feudalizmie. Są to więc czasy supremacji Izby lordów. Atoli wojna dwóch róż, wypełniająca drugą połowę XV w., przyniosła zagładę szeregowi starych rodów. Izba lordów straciła swą przewagę, ale nie na rzecz Izby gmin, tylko na rzecz korony, szafującej skonfiskowanemi dobrami i rozdającej tytuły na rzecz ludzi nowych, o giętszych karkach, niż potomkowie tych, co walczyli pod Hastngs przy boku Williama Zdobywcy. Wiek XVI przyniósł wraz z reformacją zabór dóbr kościelnych, wzmacniając przez to równocześnie koronę i szlachtę średnią, reprezentowaną w Izbie gmin. Na razie nie zyskała ona większego wpływu, gdyż aby przewrót wydał owoce, trzeba zawsze dłuższego czasu, jedni muszą oswoić się z myślą o własnej mocy, drudzy tę moc ich uznać. Zresztą działały tu także czynniki zewnętrzne (niebezpieczeństwo hiszpańskie), nakazujące odłożenie walki o władzę do czasu późniejszego, a także genjusz polityczny Elzbiety i jej doradców. Dopiero więc za Stuartów staje Izba gmin do walki o władzę z koroną. Karol I podnosi rękawicę i odpowiada próbą rządów absolutnych. Dochodzi do wojny domowej, parlament (tj. Izba gmin, która przy każdej sposobności wyraźnie zaznacza swą wyższość nad Izbą lordów) wygrywa, ale władza wymyka mu się z rąk na rzecz tyranji wojskowej. Już w okresie rzeczypospolitej pojawiają się projekty zmiany ustawy wyborczej. Jest ona przestarzała, gdyż podział na okręgi podwójne, miejskie *(boroughs)* i wiejskie *(counties)* pochodzi z XIII w., cenzus majątkowy (£ 100 rocznego dochodu) z XV w. Atoli wszelkie projekty reformy są nierealne wobec tego, że jedyną prawdziwą siłę stanowi armja, na której opiera się uzurpator, nie zawsze nawet zachowujący pozory. Ten stan rzeczy, nieznośny dla społeczeństwa, załamuje się szybko po zgonie Cromwella. Wszelkie inowacje stały się tak wstrętnemi, że restauracja zawraca do starego porządku. Jest ona niedoskonałym kompromisem i mieści w sobie zarodki nowego konfliktu, który wybucha

za Jakóba II, a nabiera, jak i poprzedni za Karola I, szczególnie ostrego charakteru przez związek z niezwykle żywotnemi dla narodu zagadnieniami religijnemi. Ani sama próba narzucenia Anglji katolicyzmu, ani same dążenia absolutystyczne króla nie doprowadziłyby do zwycięskiej rewolucji. Razem wywracają tron Stuartów.

W tym momencie Anglja jest zdecydowana równocześnie pozbyć się dynastji i zachować pewne normy prawa niepisanego, ale żyjącego w tradycji. Detronizacja ma za sobą szereg precedensów czy to z czasów anglosaskich (Sigeberht z Wessexu, Aethelred II Hasthacaniet, czy po podboju (Edward II, Ryszard II) — detronizacji Karola I nie można liczyć, gdyż uważano ją za bezprawną, ale pamięć jej żyła). Idzie tylko o to, aby aktu dokonało ciało uprawnione, pochodzące z wyboru. To też prowizoryczna reprezentacja narodu, zwołana po ucieczce Jakóba, wstrzymuje się od decydującej uchwały i oddaje tylko prowizorycznie rządy Williamowi III. Dopiero nowy parlament, normalnie wybrany, uchwala, że „skoro król Jakób usiłował wywrócić konstytucję tego królewstwa przez złamanie pierwotnego układu między królem a ludem i za radą jezuitów oraz innych niegodziwych osób pogwałcił prawa zasadnicze, a opuściwszy królestwo, tem samem abdykował, tron jest przez to opróżniony“.

W r. 1689, kiedy to uchwalano, istniały już w Anglji wyraźnie przeciwstawiające się sobie dwa stronnictwa. Torysi wywodzili władzę z góry, widząc w królu namiestnika Bożego, wigowie z dołu, widząc w nim wybrańca ludu. Otóż formułkę o opuszczeniu królestwa, równającem się abdykacji, dodano, aby umożliwić głosowanie za deklaracją torysom, ale niewątpliwie opierała się ona na doktrynie państwowej wigów. Następstwa tronu nie zmieniono właściwie, gdyż zasiadła na nim córka Jakóba. Męża jej chciano zrobić tylko regentem, lecz sprzeciwił się, więc oddano koronę obojgu jako osobom równorzędnym. Przy tej sposobności wypracowano akt, znany jako deklaracja praw. Na brzmienie jego wywarły wpływ nadużycia Jakóba II, mimo to dokument ten stanowi nadal podstawę ustroju Anglji. Stwierdza, że król nie ma prawa zwalniać nikogo od działania ustaw, ściągać podatków bez zgody parlamentu i utrzymywać bez niej armji, stwierdza, że poddani mają prawo objawiać swą wolę w petycjach, wybierać członków parlamentu (t.j. Izby gmin) bez żadnego nacisku, że sądownictwo ma być niezawisłe, a obie Izby mają mieć pełną swobodę obrad. Przyjmując tron imieniem własnem i żony, William III przyjął również tę deklarację.

Oznaczała ona supremację Izby gmin w państwie, gdyż bez jej uchwały nie można było napełnić skarbu. Lecz potęga ta miała raczej charakter negatywny, niż pozywtyny. Izba mogła usunąć ministra, ale nie mogła wyznaczyć jego następcy. Wogóle ministrowie, mianowani przez monarchę, przyjmowali instrukcje tylko od niego. Ale i gabinet jako taki nie istniał jeszcze. Król wybierał jego członków dowolnie, dążąc nawet do pewnej równowagi między stronnictwami. Nie było właściwie premjera — co najwyżej jeden z ministrów górował nad innymi zdolnościami i zaufaniem królewskiem. Taki stan rzeczy wywoływał tarcia i w łonie gabinetu i w Izbie.

Trudność rozwiązał hr. Sunderland, którego można uważać za twórcę nowoczesnego systemu rządu w Anglji i poza Anglją. Za jego radą William zgodził się na mianowanie ministrów wyłącznie z pośród większości Izby gmin. Tym sposobem powstał gabinet, współdziałający zgodnie, bo przeniknięty jednolitym poglądem na sprawy państwowe, ustalił się jego kontakt z parlamentem, gdyż ministrowie byli zwykle przywódcami silniejszej partji, wogóle ustaliła się odpowiedzialność większości za rządy. Gabinet stał się rodzajem komisji, wyłanianej przez nią i ustępującej z natury rzeczy, o ile — wskutek niepowodzeń zewnętrznych lub wewnętrznych — większość zamieniła się w mniejszość.

W całym tym ustroju odzwierciedlił się genjusz polityczny narodu angielskiego. Odzwierciedlił się także w rzeczy, która towarzyszyła wejściu w życie systemu Sunderlanda. Oto poszczególne stronnictwa ugrupowały się wedle wymienionych dwóch naczelnych zasad, którym podporządkowały różnice swych programów, w dwa wielkie bloki — i tak miało zostać aż do wieku XX.

Wybory r. 1695 dały większość wigom, którzy po raz pierwszy wystąpili jako ciało zdyscyplinowane, pozostające pod kierownictwem swych ministrów. Złamali dzięki temu próbę wznowienia cenzury, przeprowadzili ustawę, że parlament musi być zwoływany co 3 lata i usankcjonowali założenie Banku angielskiego. Rok 1701 przyniósł ustawę o następstwie tronu. Ponieważ Marja, córka Jakóba II a żona Williama III umarła, postanowiono, że w razie jego zgonu ma panować młodsza siostra Marji, Anna, a w razie jej bezpotomnego zejścia dynastja hanowerska t.j. potomkowie wnuczki Jakóba I, który był pierwszym ze Stuartów na tronie angielskim.

Ustawa ta kolidowała ze stanowiskiem Szkocji, pragnącej zachować niezależność. Stąd parlament edynburski uchwalił w dwa lata później t. zw. akt bezpieczeństwa, stwierdzający, że Szkocja uzna za swego tylko takiego monarchę, ktory zapewni jej wolność religijną, polityczną i handlową. Aby stępić ostrze tego aktu, przeprowadzono za panowania Anny w r. 1707 unję. Do 530 członków Izby gmin dodano 45 szkockich, do 108 parów angielskich 13 szkockich. Powstała nazwa Zjednoczonego Królestwa. Akt bezpieczeństwa wszedł w skład dotyczącej ustawy i tym sposobem zagwarantowano swobody Szkocji. Ustrój jej Kościoła i sądownictwo zostały niezmienione, wprowadzono jednak wspólną walutę i zniesiono wszelkie ograniczenia handlowe. Unja była dla Szkocji nadzwyczaj zbawienna, gdyż otworzyła jej dostęp do wszelkich korzyści kolonjalnych. Przedsiębiorczy i oszczędni mieszkańcy północy osiedlali się odtąd bez przeszkody na południu i dorabiali się majątków. Urzędy szkockie pozostały dla Anglików niedostępnemi, natomiast Szkoci dochodzili w Anglji do najwyższych dostojeństw — przypominam obecnego premjera. Ubogi kraj podniósł się szybko i zakwitł. Mimo to pozostała w nim długo chęć oderwania się i były jeszcze dwa powstania w imię wierności Stuartom (w roku 1715 i 1745, kiedy górskie klany dotarły w samo serce Anglji). Lecz niziny szkockie, mniej konserwatywne, a zato lepiej umiejące ocenić uzyskane korzyści, były naogół przeciwne ruchom jakóbickim. Sentyment dla rodzimej dynastji utrzymywał się długo, lecz miał raczej charakter platoniczny. W każdym razie Szkoci po dziś dzień odznaczają się poczuciem odrębności i nie-

podległości. Na dowód przytoczę rzecz, która zdarzyła się mnie samemu. Tuż koło szczytu Świnicy spotkałem parę lat temu dwie panie, które powiedziały mi *good morning* — jak zapewne zagadywały każdego spotkanego turystę, aby trafić na kogoś, z kimby mogły porozmawiać. „Ach, panie są Angielkami?" spytałem. — „Nie, jesteśmy Szkotkami", brzmiała odpowiedź, nieco emfatyczna.

Od czasu rewolucji r. 1688 do pierwszej reformy wyborczej w r. 1832 jest Anglja poniekąd tem, czem Polska przed rozbiorami — rzecząpospolitą szlachecką z reprezentującym królem na czele. Ale zachodzi pewna ważna różnica co do żywiołu mieszczańskiego. W Anglji ma on pewien udział w rządzie, przytem zaś stan szlachecki nie jest klasą zamkniętą. Jak członek szlachty (*gentry*) może wynieść się do arystokracji (*nobility*), tak i w jej szeregi wstęp nie jest zbyt trudny. Ta możliwość wybicia się w społeczeństwie jest zapewne główną przyczyną, że Anglja, choć z końcem w. XVIII miała swoich jakobinów, nie poszła za przykładem Francji, w której klasy wyższe oddzieliły się murem chińskim od niższych i odpokutowały to rewolucją.

Udział w rządzie nie polegał więc w Anglji XVIII w. na klasowej wyłączności. Ale nie był też udziałem szerokich mas społeczeństwa. Obliczono, że z początkiem panowania Jerzego III, więc w latach sześćdziesiątych, na 8 miljonów ludności było tylko 160 tys. uprawnionych do głosowania. Wedle ustawy wyborczej z czasu Henryka III ludne miasta wybierały tyluż reprezentantów, co podupadłe mieściny w rodzaju osławionego Old Sarum, a nowe ośrodki przemysłowe na północy, jak Birmingham, Liverpool, Leeds, Manchester, nie miały wogóle przedstawicielstwa. Sytuację tę dobrze maluje utarta terminologja — *rotten boroughs* (okręgi „zgniłe", o nielicznych wyborcach) i *pocket boroughs* (okręgi, które czy to król, czy jakiś magnat miał w kieszeni). W okręgach takich wybory były nieledwie nominacją. Gdzieindziej uprawiano przekupstwo. Znany komedjopisarz Sheridan, jeden z największych mówców parlamentarnych Anglji, z okazji swego pierwszego wyboru zanotował cynicznie w rachunkach: 248 mieszczan po 5 gwinei = £ 1302. Byli specjalni agenci, zwani *borough jobbers*, którzy podejmowali się za pewną sumę przeprowadzania wyborów. W listach hr. Chesterfielda znajdujemy charakterystyczny ustęp. Młody człowiek należał do opozycji, więc rząd zwrócił się do niego, ofiarując pewną sumę za absentowanie się do końca sesji. Filip zwrócił się o radę do papy eks-ministra, ten zaś kazał mu odpowiedzieć w grzecznej formie, jak następuje: Wybór kosztował £ 2000, sesja nie dobiegła do połowy, więc niżej £ 1000 nie mogę przystać. W późniejszych listach czytamy o targach, przy których *borough-jobber* oświadczył, że nababi t.j. ludzie, wracający z majątkiem z Indyj, podbili ceny i niżej £ 3000 nie dostanie mandatu.

Z tem wszystkiem korupcja nie była tak powszechna, jakby się zdawało. Reprezentować w Izbie Gmin Londyn, Bristol czy inne ludne miasto było naprawdę dowodem zaufania współobywateli — i całkiem inaczej szanowano takiego członka parlamentu. Gdy Edmund Burke, największy pisarz polityczny Anglji, chciał wejść do Izby gmin, przywódca wigów markiz Rockingham postarał się o jego wybór w Malton, jednem że swych *pocket - boroughs*. Ale gdy później nadarzyła się sposobność otrzymania mandatu z Bristolu, Burke skorzystał z niej najskwapliwej.

Miasta, zwłaszcza Londyn, umiały też bronić praw swoich. Dowodem sprawa Wilkesa. Rzecz działa się z początkiem panowania Jerzego III, który próbował rządzić samowładnie. Wilkes zwalczał popierające króla stronnictwo, do którego należało wielu Szkotów, w piśmie, zatytułowanem ironicznie „północny Brytyjczyk". Za jeden z ataków rząd kazał niewygodnego dziennikarza bezprawnie aresztować. Krok ten jednak wywołał po miastach groźne demonstracje, a Wilkes. odzyskawszy wnet wolność na podstawie aktu *habeas corpus*, wniósł przeciw rządowi skargę o uwięzienie bez formalności prawnych, a ponieważ zasiadał w Izbie gmin, także o pogwałcenie nietykalności. Król jednak zdołał skłonić Izbę do potępienia jednego z numerów „Brytyjczyka północnego" i uznanie go za oszczerczy, a Izba lordów dopatrzyła się w rozprawie, znalezionej w skonfiskowanych papierach Wilkesa, obrazy religji. Ponieważ uszedł był tymczasem do Francji, skazano go na wygnanie.

Atoli wrócił po paru latach i znowu został wybrany przez Middlessex czyli przez ludność Londynu. Król kazał uwięzić go jako banitę, usłużna Izba gmin unieważniała wybór, ponieważ Wilkes został już z niej podczas tej samej sesji usunięty za oszczerstwo w druku. Lecz Londyn nie ustąpił. Wybrał ponownie swego kandydata, urządził z tego powodu iluminację, a podczas demonstracji obrażono nawet posła austrjackiego, gdyż wyciągnięto go z powozu i wypisano mu kredą na podeszwach trzewików cyfrę 45 (którą nosił ów sławny numer „Brytyjczyka Północnego"). Usiłowano też przemocą uwolnić Wilkesa z więzienia. Król zawziął się i kazał wystąpić wojsku. Polała się krew, ale stolica była zdecydowana na wszystko. Izba gmin trzykrotnie unieważniała wybór Wilkesa, Londyn wybierał go na nowo. Wreszcie Izba popełniła poważne bezprawie. Uznała kontrkandydata, który otrzymał 300 głosów przeciw 1400 za wybranego. Na to Londyn oddał Wilkesowi godność aldermana (ławnika) i wysłał do Króla deputację z lordem merem na czele. Żądała ona rozwiazania Izby gmin jako nie reprezentującej narodu i zmiany ordynacji. Po raz pierwszy od wojny domowej wyraźnie sformułowano ten postulat, mający jeszcze charakter rewolucyjny, ale dotykający dotkliwej bolączki państwa. Nie dojrzało ono jeszcze było do reformy, której nawet mądry Burke obawiał się jako wielkiej niewiadomej w skutkach.

Akcji Londynu towarzyszyły tłumne zebrania w kraju, zwłaszcza na północy, w Yorkshire, gdzie leżały niektóre miasta przemysłowe, pozbawione reprezentacji parlamentarnej. Ukazały się w pismach sławne „Listy Junjusza", atakujące z niesłychaną gwałtownością i sarkazmem króla i jego klikę. Autor tak dobrze ukrył swą osobę, że była przez długie lata zagadką i do dziś dnia niezupełnie jest ona wyświetlona. Izba lordów ulękła się konsekwencyj dalszej walki z ludnością stolicy, zresztą składała się z ludzi bardziej niezależnych. Uznała postępek Izby gmin względem Wilkesa za bezprawny, nie poparła jednak petycji o reformę.

W parę lat później, w r. 1771 nastąpił nowy konflikt. Przedmiotem była wolność drukowania

w gazetach sprawozdań parlamentarnych. Jak poprzednia sprawa stwierdziła, że poza Izbami stoi naród, który ma prawo wypowiadać swą wolę, tak ta doprowadziła do stwierdzenia, że naród ma prawo wiedzieć, co się w Izbach dzieje. Przez długi czas opierały się one jawności obrad. Jako uzasadnienie podawano naturalnie konieczność ukrywania przed zagranicą, co zamierza państwo, ale choć niektórzy głosili to w dobrej wierze, to na utrzymaniu istniejącego stanu rzeczy zależało najbardziej ludziom sprzedajnym, którzy bali się kontroli publicznej. Prasa jednak już od początku w. XVIII próbowała przełamać tajność. Gdy specjalną ustawą zabroniono umieszczania sprawozdań, jeden z redaktorów londyńskich wpadł na sprytny pomysł. Zaczął umieszczać sprawozdania z obrad senatu w Liliput. Były nieścisłe, gdyż opierały się na notatkach, robionych ukradkowo. Początkowo zmieniano lub przekręcano nazwiska, potem przestano to czynić. Parlament — w owym czasie właśnie skorrumpowany do szpiku kości przez Jerzego III — postanowił zakneblować usta gazetom i wydał odpowiednią proklamację. Izba gmin zawezwała ośmiu drukarzy, którzy nie poddali się temu zarządzeniu, do stawienia się przed sobą. Dwaj z nich poszli na drogę sądową, zwracając się do władz miejskich, a Wilkes i drugi alderman, nazwiskiem Oliver, wydali wyrok, że mogą nie słuchać proklamacji, ponieważ jest bezprawna. Trzeci drukarz, niejaki Martin, odmówił stawienia się przed Izbą, która kazała sprowadzić go woźnemu, lecz Martin kazał woźnego uwięzić, ponieważ na nakazie aresztowania nie było podpisu urzędnika miejskiego. Parlament postanowił, raz naruszywszy autonomję City, złamać jej opór. Lord mer i Oliver dostali się do Tower, lecz ludność znowu zajęła stanowisko zdecydowane. Więźniów po sześciu tygodniach wypuszczono, Londyn uczcił ich iluminacją, a parlament uznał milcząco pełną wolność prasy. W r. 1774 Wilkes jako przedstawiciel Middlessex zasiadł znowu w Izbie gmin, która po paru latach uznała nawet bezprawność owej uchwały, uznającej jego kontrkandydata za wybranego i wykreśliła ją z protokułu.

Swoboda przysłuchiwania się obradom parlamentu, stenografowania ich i ogłaszania sprawozdań podziałała na życie parlamentarne zbawiennie. Atoli były to czasy najgorszej korrupcji i trzeba było zatamować jej źródło.

Przekupstwo uprawiali dawno ministrowie z funduszów państwowych. Wiedział o tem naród, piętnowali to literaci, pełno do tego aluzyj w sztukach teatralnych z pierwszej połowy XVIII w. O ile jednak rządy były dobre, oburzenie nie przybierało groźnych rozmiarów. W przeciwnym razie groziła obalonemu ministrowi sprawa gardłowa. Powoli wychodziło to z mody. Korrupcją operował znakomity admistrator Walpole (ale nie brał nic dla siebie), a trjumfy wojny 7-letniej zawdzięczała Anglja gabinetowi, o którym mówiono, że ks. Newcastle daje wszystko (t.j. kupuje poparcie), a Pitt (starszy) robi wszystko (t.j. rządzi). Lecz gdy Pitt „upadł w górę po schodach" (bo z jego racji powstało to wyrażenie) i z „wielkiego członka Izby gmin" (*the great commoner*) stał się tylko hrabią, nastał system korrupcji niesłychanie groźnej, bo popierającej rządy złe i lekkomyślne.

(Dok. nast.) WŁADYSŁAW TARNAWSKI

O ROLI DUCHOWIEŃSTWA

JEŚLI coraz bardziej stwierdza się przeświadczenie, że Europa dzisiejsza obok kryzysu gospodarczego przechodzi głębszy jeszcze kryzys duchowy, sięgający wielowiekowych podstaw jej cywilizacji, to jednym z najznamienniejszych przebłysków tej świadomości jest budzenie się katolickiej myśli i opinji wśród inteligencji świeckiej. Wyrazem tego jest potężny, zorganizowany ruch akcji katolickiej, świadczy o tem również szereg głosów naukowych, literackich i publicystycznych, jakie w ostatnich czasach rozlegają się coraz częściej na temat dziejowej roli Kościoła, jakoteż stanowiska i zadań duchowieństwa katolickiego w dziedzinie współczesnego życia kulturalnego, społecznego i politycznego. Francja, jak zwykle, jest i tutaj krajem, w którym nowe objawy i dążenia duchowe, rodzące się w myśli europejskiej, występują najsilniej, mimo zobojętnienia szerokich warstw społeczeństwa francuskiego do religji, wskutek trwającego od czasu Wielkiej Rewolucji Francuskiej procesu laicyzacji życia kulturalnego i wszelkich instytucyj publicznych kraju. Świeżo mamy do zanotowania, jako przejaw tych prądów myślowych w opinji francuskiej, interesującą książkę p. p. A. Cavalier i R. de Cheyssac'a p. t. „Ksiądz na swojem miejscu" („*Mon curé à sa place*"). Autorzy — ludzie świeccy, rozpatrują w niej stosunek duchowieństwa katolickiego we Francji do wielkiego problemu odrodzenia religijnego społeczeństwa, analizując metody, przy których pomocy praca w tym kierunku winna być prowadzona, zarówno na terenie socjalnym, jak w dziedzinie wychowania, sztuki, kultury i zagadnień politycznych.

Wypowiadane przez autorów poglądy, aczkolwiek nieraz sporne, odznaczają się oryginalnością i głębokiem ujęciem przedmiotu; niektóre z wysnuwanych wniosków posiadają znaczenie ogólne, inne mają związek raczej za specyficznemi warunkami ich kraju.

Na wstępie poruszone jest zagadnienie, dosyć rozpowszechnionej dziś w kołach duchowieństwa katolickiego we Francji dążności do brania jaknajbardziej czynnego udziału w pracy społecznej — stowarzyszeniowej i zawodowej (ruch syndykalistyczny), przyczem działalność powyższa traktowana jest jako najlepszy środek do nawiązania kontaktu kleru z szerszemi masami ludności i stopniowego zjednania tych mas dla światopoglądu i zasad katolickich.

Nie zaprzeczając potrzeby czynnego udziału w pracy społecznej, autorzy przestrzegają przed nadmiernem zaabsorbowaniem duchowieństwa zagadnieniami socjalnemi oraz przecenianiem możliwości propagandy katolickiej na terenie instytucyj takich, jak gminy, syndykaty — przesiąkniętych nawskroś duchem laicyzmu i nastrojonych zgóry nieufnie i wrogo do t. zw. „klerykalizmu".

Bez porównania skuteczniejszą jest bezpośrednia droga nauczania i wychowania religijnego, którą Kościół kroczy od czasów apostolskich. Wprawdzie w przeciągu szeregu ubiegłych stuleci

kościół katolicki we Francji rozwijał potężną działalność na polu oświaty, opieki i polityki społecznej, zastępując w tym względzie państwo i inne związki publiczne, dziś jednak — stosunki ułożyły się zgoła odmiennie, państwo bowiem, względnie samorządy mają pretensję do dominującej, wyłącznej niemal roli w tej dziedzinie, przeznaczają wielkie środki na opiekę, hygjenę i politykę społeczną, utrzymują liczne kadry zawodowych pracowników na tem polu; duchowieństwo nie odegra dziś większej roli na terenie służby publicznej, prowadzonej oficjalnie w duchu ideologji, mającej b. mało wspólnego z założeniami katolicyzmu.

Nie tu leży więc — zdaniem autorów — właściwa droga do zdobycia przez kościół katolicki we Francji autorytetu i głębszego moralnego wpływu na społeczeństwo.

Należy przedewszystkiem zorganizować odpowiadający warunkom dzisiejszym system religijnego kształcenia intelektu społeczeństwa, zreforować przestarzałe, nieraz zbyt powierzchowne metody nauczania religijnego w seminarjach i szkołach katolickich. Autorowie zauważają, że młodzież świecka, kończąca szkoły katolickie we Francji, jest w większości elementem zbyt biernym w życiu moralnem narodu, nie tworzy ona jeszcze dziś zwartej, gorącej falangi szermierzy sprawy katolickiej.

Wychowanie katolickie winno oddziaływać integralnie na wszystkie elementy życia duchowego człowieka: wolę, intelekt, uczucie, zmysł estetyczny. Autor przytacza tutaj ciekawy przykład, zaczerpnięty z życia: jeden z księży z Paryża zaczął stosować system krótkich, w żywej formie prowadzonych wykładów z dziejów kościoła katolickiego we Francji, łącząc je ze zwiedzaniem wspólnie ze słuchaczami szeregu kościołów Paryża; skutek był wręcz zadziwiający, wśród młodzieży obudziło się nietylko zainteresowanie lecz wręcz zapał do tych wykładów.

Jak gdyby utajona w murach tych starych świątyń, ich przedziwnie pięknych witrażach i kamiennych koronkach, potęga uczuć religijnych średniowiecznej Francji znalazła za pośrednictwem inteligentnego interpretatora drogę do duszy dzisiejszego pokolenia młodzieży francuskiej, pozbawionego często, w życiu codziennem, tradycyj katolickich.

Podobnie jak katedra w mieście, tak każdy kościół wiejski, zabytki archeologji, sztuki kościelnej, tradycyjne zwyczaje świąteczne i t. d. są żywą księgą, którą trzeba, aby parafjanie uczyli się czytać pod kierunkiem swego księdza, także katolicka filozofja przyrody, a wreszcie i przedewszystkiem, cała liturgja kościelna, są przedziwnym, niewyczerpanym w swym bogactwie materjałem do kształcenia myśli i uczuć katolickiego ogółu.

Interesujące są uwagi poświęcone znaczeniu specjalnie — sztuki i muzyki kościelnej. Muzyka kościelna zająć winna należne jej wybitne miejsce w systemie wykształcenia katolickiego: jest ona przedziwnym środkiem do skupienia, kontemplacji i modlitwy, tony jej podczas nabożeństwa unoszą się ku górze, jak przezroczyste, nawpół widzialne dymy kadzideł. Jest ona uniwersalną, jak symbole chrześcijaństwa: przemawia do duszy zarówno krajowców w odległych krajach misyjnych jak i mieszkańców współczesnych centrów wielkomiejskich.

Autorzy poświęcają dalej obszerny rozdział roli masonerji i ostro zwalczają tendencje kompromisowe pewnych kół katolickich w stosunku do czynników politycznych we Francji, podlegających wpływom ideologji wolnomularstwa. Zdaniem autorów, oficjalne doktryny polityczne republikańskiej Francji, datujące się od Wielkiej Rewolucji, stoją w głękokiej sprzeczności z podstawami społecznego światopoglądu katolicyzmu. Krytycznie również odnoszą się autorzy do kierunku t. zw. demokracji-chrześcijańskiej na terenie francuskim, który—zdaniem ich — zbyt silnie jest nieraz zabarwiony pierwiastkami liberalno-socjalistycznych poglądów społecznych. Jest to paradoks dzisiejszych czasów, że obok socjalistów spotykamy również „czerwonych chrześcijan" (*„les rouges chrétiens"*).

Jedno z głównych źródeł odrodzenia moralnego społeczeństwa francuskiego leży, zdaniem autorów, w silnym ruchu narodowym, który za czasów wojny światowej uratował Francję, a dziś jest sztucznie usypiany frazeologją liberalno-socjalistyczno i pacyfistyczną.

Zadaniem duchowieństwa katolickiego jest czynny współudział w tym odrodzeniu ducha narodowego w społeczeństwie; praca ta przyczynia się równocześnie do wzmocnienia katolicyzmu, tradycje katolickie i narodowe bowiem nierozerwalnie splatają się swemi korzeniami w głębokich warstwach historycznych cywilizacji francuskiej.

Omawiana książka, ciesząca się dziś znaczną poczytnością, jest jeszcze jednym objawem, świadczącym o tem, że idea katolicka, tak długo stawiana poza nawiasem życia publicznego, staje się osią życia i zmagań duchowych współczesnej Francji.

STANISŁAW MIKLASZEWSKI

ZAPOZNANY PRZEKŁAD

OBOK nowych zdobyczy naszej literackiej kultury, nie trzeba zaniedbywać dawnych a cennych jej nabytków [1]). Skrzętny zbieracz gromadząc nowe klejnoty, nie wyrzuca przecież ze skarbczyka dawnych, jeżeli posiadają blask i wartość nietuzinkową.

Z powodu wystawienia na scenie arcydzieła Göthe'go zawrzała w prasie naszej polemika, dawno niespotykana w dziedzinie krytyki literackiej. Nie chcę mieszać się do sporów, ani robić nowych porównań ale sentyment teatralny, urok dawnych wspomnień i poczucie sprawiedliwości nakazują mi upomnieć się o prawa i zasługi jedgo z dawnych tłumaczów.

[1]) Po ukazaniu się „Fausta" w przekładzie Emila Zegadłowicza zawrzało w prasie od dyskusji i polemik na temat wartości przekładu nowego i przekładów dawniejszych. Ponieważ „Myśl Narodowa" wiele miejsca tej sprawie poświęciła, więc gdy czcigodny Józef Kotarbiński, dziś niestety nieżyjący, zgłosił swój artykuł (było to 9 kwietnia 1926 r.), musieliśmy cenny jego szkic na jakiś czas odłożyć. Ogłaszamy ten artykuł dopiero teraz, aktualność zaś jego widzimy nie tyle w temacie, ile w potrzebie przypomnienia ogółowi nieodżałowanego artysty i krytyka, autora tego artykułu.

Redakcja.

Jako młody aktor przed 45 laty jego słowami oddawałem myśli i uczucia bohatera tragedji Göthe'go — jako dyrektor teatru w Krakowie przed 25 laty wprowadzałem w jego przekładzie na scenę to wszechświatowe arcydzieło. Spłacam więc zasłużony dług pamięci Aleksandra Alberta Krajewskiego, którego przekład „Fausta" ukazał się najpierw w r. 1857 w „Bibljotece Warszawskiej", wtedy właśnie, gdy tłumacz wracał do kraju z wygnania po osiemnastoletnim przymusowym pobycie w odległych okolicach wschodniej Syberji. Jako młody biuralista, skazany na ciężkie roboty za udział w tajnem „Stowarzyszeniu ludu polskiego", w r. 1839 od granicy Rosji europejskiej odbywał Krajewski cierniową podróż pieszo etapem do obwodu zabajkalskiego. Potem, gdy prześladowcze władze rosyjskie złagodziły karę politycznym przestępcom, osiadł przy kopalniach nerczyńskich, dając lekcje i pracując umysłowo. Wtedy właśnie przez lat kilka wytrwale i z wielkiem zamiłowaniem dokonał przekładu tragedji Göthe'go. Krajewski włożył w tę pracę nietylko dużo usilności i pietyzmu, ale nacechował ją wybitnym talentem i sztuką słowa, tak, że do dziś dnia, według mnie, barwy przekładu w najcelniejszych ustępach nie zblakły, a forma poetyczna nie razi stęchlizną lub zaniedbaniem.

Z początku, co prawda, praca nie szła raźno tłumaczowi, zwłaszcza we wstępnych akordach, któremi poeta poprzedził pierwszą część tragedji. W „Przypisaniu" *(Zueingang)* oraz w „Grze wstępnej na teatrze" (*Vorspiel auf dem Theather)* za dużo jeszcze rymów zbyt łatwych, pospolitych, — tok wiersza płynny, ale barwa języka trochę szara, chociaż już w ostatnich przemówieniach Poety, Komika *(Lustige person)*, Dyrektora teatru, tętni żywe słowo, niektóre ustępy oddane zręcznie i wymownie. „Prologu w Niebie" Krajewski nie przetłumaczył, zapewne z tej przyczyny, że według pojęć ówczesnych, rozmowa Pana zastępów z djabłem wydała mu się zbyt śmiałą, nadto ryzykowną. Gdy wystawiono „Fausta" na scenie Teatru Wielkiego w r. 1881 w Warszawie, reżyserja uzupełnienie tekstu polskiego tym fragmentem uważała za niedopuszczalne. A jednak w Krakowie, gdym wystawiał „Fausta" w 1901 r. i wprowadziłem na scenę ten prolog w sumiennym przekładzie Ludwika Jenike'go, nie raziło to uczuć religijnych pobożnych słuchaczy. Według mnie, poeta śmiało i bardzo sympatycznie zaznaczył tu rolę Boga osobowego, jako władcy świata, który pobłażliwie, po ojcowsku słucha skarg oraz uwag ironicznych o nędzy człowieczej, wygłaszanych przez agenta państwa ciemności [2]).

Począwszy od pierwszego monologu tragedji, przekład nabiera nietylko barwy i ekspresji, ale nawet miejscami ujmuje poetycznym polotem — jak np. w ustępie zaczynającym się od słów: *O sähst du voller Mondenschein...*

Ileż to razy, księżycu srebrzysty,
Przy twojem świetle przesiedziałem marnie,
Aby dziś pełni twej wzrok promienisty
Widział ostatni raz moje męczarnie!
Dotąd twą tęskną twarz mogłem widywać
Tylko przez stosy ksiąg i pism foljały:
Ach, jakże pragnę w ciebie się wpatrywać
W wolnej przestrzeni, z szczytu dzikiej skały
Jak pragnę, pocztem duchów otoczony,
Bujać po górach, po przepaściach stąpać;
Wśród twego blasku na łące zielonej
Wolny i lekki w twej rosie się kąpać.

(Nowego wydania przekładu str. 23).

Pamiętam, że ten piękny ustęp wykreślała mi z roli Fausta w r. 1881 reżyserja warszawska. Opuszczałem grę na próbach, ale na premjerze, stojąc przy oknie, w blasku księżyca, wygłosiłem te wiersze ku wielkiemu przerażeniu suflera, który w swej budce nie mógł się jakoś połapać. W następnych przedstawieniach ten ustęp mówiłem już z aprobatą reżyserji.

W zakończeniu pierwszej sceny tragedji tłumacz pięknie oddał moment, gdy Faust porzuca zamiar samobójstwa, wzruszony pieśnią aniołów o Zmartwychwstaniu Chrystusa. Nie przytaczam niemieckiego tekstu, stwierdzając tylko, że w przekładzie nie przepadła ani jedna myśl oryginału:

I czemuż wasza słodycz i potęga
Odgłosy niebios aż do mnie tu sięga?
Brzmijcie tam wkoło, gdzie ludzi znajdziecie
Miększych odemnie: brakuje mi wiary,
A cud — to wiary ukochane dziecię.
Już nie śmiem dzisiaj spoglądać w te strony,
Skąd brzmi wieść błoga cudownej ofiary:
A przecież wieść ta znajomemi tony,
Tak jak za młodu, słowami anioła
Znowu od śmierci do życia mnie woła!
Wtedy modlitwy znałem rozkosz czystą,
Znałem niebiańskiej miłości zapały,
I w dnia Bożego ciszę uroczystą
W mojem się sercu dzwony odbijały,
Błogiej tęskności wiedziony urokiem,
Jakże lubiłem zwiedzać puszczę ciemną
I patrzeć na świat łzami zlanem okiem!
Wtedy świat nowy powstawał przedemną
Pobożne święta wiosennego dźwięki
Zwiastować zwykły zabawy niewinne —
I teraz nawet wspomnienie dziecinne
Fatalny puhar wytrąca mi z ręki —
O pieśni brzmijcie słowami świętemi,
Łzę czuję w oku i wracam do ziemi.

(Przekładu str. 35, 36).

Tłumacz umiejętnie nadał tym wierszom muzykalność, powtarzając często otwarte samogłoski *a* i *o*; w moich uszach brzmiały te słowa szeroko, uroczyście, tonem zgodnym z muzyką organów kościelnych.

Oddając w naszej mowie myślową treść tragedji, tłumacz pomimo formy wierszowej docierał prawie dosłownie do tekstu oryginału, jak np. w tym momencie, gdy Faust parafrazuje początek Nowego Testamentu, albo w rozmowie z Mefistofelesem, gdy szatan ukazał się w postaci wędrownego studenta, zgnębiony egzorcyzmem mędrca:

FAUST: Któż tedy jesteś?
MEFISTOFEL: Jam cząsteczka mała
Siły co, złego pragnąc, zawsze dobro działa.
FAUST: Taka zagadka nieobjaśnia rzeczy.
MEFISTOFEL: Jestem więc duchem, który wiecznie [przeczy
I słusznie, bo cokolwiek do życia przychodzi
Najniezawodniej warte jest zniszczenia;
Niechże się lepiej nic wcale nie rodzi.
Stąd wszystko, co u waszego plemienia
Grzechem, zniszczeniem, złem się nazywa
To moja sfera właściwa.
FAUST: Powiedziałeś, żeś cząstką, a stoisz tu cały.
MEFISTOFEL: Skromną ci tylko prawdę me usta [wyznały
Gdy człowiek, będąc małą i głupią istotą
Ma się za coś całego — ale mniejsza o to —
Jam część części, co kiedyś przed chwilą stworzenia
Była wszystkiem; jam cząstka przedwiekowej Mocy,
Matki dumnego światła, które z całej mocy

[2]) W najnowszem wydaniu przekładu Krajewskiego, które ukazało się w r. 1921 nakładem „Polskiej składnicy pomocy szkolnych", prolog ten dodano w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Chce jej dziś przestrzeń wydrzeć. Lecz te wysilenia
Są próżne; bo to światło, do ciał przywiązane
Ciała zdobi, z ciał płynie,
Przez ciała może w biegu być wstrzymane,
Więc pewno wkrótce wraz z ciałami zginie.
FAUST: No teraz już pojmuję twe zacne rzemiosło
Gdy się na wielką skalę niszczyć nie udało,
Więc dobrze i na małą!
MEFISTOFEL: To prawda, wyznaję.
Ale mi ono dotąd niewiele przyniosło.
Ten lichy świat, źdźbło takie — rzecz zadziwiająca
Jak się szczęśliwie zniszczeniu opiera!
O to źdźbło cała moja sztuka się roztrąca;
I fala je zalewa i ogień pożera,
I trzęsienia i burze: cóż? kończy się na tem,
Że wszystko jest, jak było, i świat zawsze światem.
(Przekładu, str. 55, 56).

Pamiętam jak w pysznie rzeźbionej dykcji Królikowskiego głębsza treść myślowa roli Mefista rysowała się w kontraście do zwrotów piekielnie gorzkiej ironji. Potrafił także Krajewski uchwycić wewnętrzny, emocjonalny rytm ustępów, w których tętni żywsze uczucie, jak np. w doskonale oddanej tyradzie, gdy Faust wybucha goryczą rozpaczliwego pesymizmu. Tok wiersza i słowa wzmaga się tu stopniowo aż do końcowego przekleństwa, zgodnie nietylko z tonem, ale i wyrazową treścią oryginału (Przekładu str. 63).

W całej roli Małgosi, w scenach miłosnego rozmarzenia, słowa przekładu pełne są szczerości i prostoty. Najmniej szczęśliwie wyszła ballada o królu Thule, w pierwszych zwłaszcza strofach rytmicznie chropowata, natomiast monolog Małgosi przy kołowrotku w krótkich rymowanych wierszach płynie z przedziwnie ujmującą wymową tęsknoty dziewiczej, w zupełnej zgodzie z oryginałem. (Przekładu str. 316, 317).

Ślicznie także tłumacz oddał scenę w ogrodzie:

MAŁGOSIA: E, ja wiem dobrze; pan tylko udaje
Umyślnie, żebym ja się nie wstydziła tyle,
Często wędrowiec, który zwiedza cudze kraje
Przez dobroć wszystko chwali i przyjmuje mile.
Tacy edukowani ludzie jak panowie,
Cóż znajdą w naszej ubogiej rozmowie?
FAUST: Jedno twoje spojrzenie bardziej zajmujące,
Niźli światowych mądrości tysiące!
(całuje ją w rękę).
MAŁGOSIA: Co pan robi! To ręka nie do całowania:
Nie biała wcale i nie delikatna!
Koło domu jest dużo pracy i krzątania:
Mama we wszystkiem taka akuratna.
(Przekładu str. 124).

Cytuję tylko początek — cały ten epizod w polskiej mowie pełen jest ciepła, szczebiotu dziewiczego w kontraście do paru akcentów djabelskiej obłudy. Wreszcie w ostatniej scenie tragedji, w więzieniu, tłumacz uchwycił zmienny, ruchliwy rytm oryginału, niepokój obłędu Małgosi, nagłe jej przeskoki od rzewnych wspomnień o zachwytach miłości, do rozpaczliwych okrzyków dzieciobójczyni, zakończonych aktem skruchy i modlitwą skazanej:

FAUST: Chcę cię ocalić.
MAŁGOSIA: Nie, Boskiej woli ulegnę z pokorą.
MEFISTOFEL (do Fausta): Pójdź, bo jeszcze ciebie
[z jej łaski zabiorą.
MAŁGOSIA: Jam Twoja Ojcze! Tyś zbawienie moje!
Zastępy aniołów błogosławione
Stańcie przy mnie na moją obronę!
Henryku, ja się ciebie boję!
(Przekładu str. 178 — 185).

W scenach wesołych lub charakterystycznych pozwalał sobie tłumacz na pewne dowolności. W pijackiej awanturze u Auerbacha mokra słoma *(nasses Stroh)* zamieniła się na „wymokłe śledzie“ dla rymu i konceptu. Ten epizod oddany jest w tonie hulaszczym, pełen zwrotów krzykliwych i brutalnych — szkoda tylko, iż tłumacz, unikając męskich rymów, zmienił nieco rytmikę i charakter piosenek.

W kuchni czarnoksięskiej, którą to scenę sam Goethe nazwał wybrykiem poetycznej niedorzeczności, tłumacz oddaje wiernie zmienną i ruchliwą formę oryginału, komiczne skrzeczenie wiedźmy, djabelską brawurę i cynizm Mefistofela, pokonawszy z wielką swobodą trudności niemieckiego tekstu.

Zaznaczę w końcu, że w roli Walentego Krajewski uchwycił dobrze szorstkość i zadzierżystość żołnierską, jak np. w chwili, gdy brat Małgosi wytrąca cytrę z rąk Mefistofela, który śpiewał pod oknami serenadę:

Krocset piorunów! Kogóż to trelami
Wabisz po ciemku, łotrze przeklęty,
Do djabła naprzód i te instrumenty,
Do djabła potem i śpiewacy sami!
(Przekładu str. 149).

Wskazałem nie bez przyczyny, główne składniki oraz odmiany formy i tonu przekładu. Niechcę polemizować, ale kreślę te słowa w duchu zasady: *suum cuique.*

Z cytat powyższych wynika, że tłumacz usilnie starał się, aby uwydatnić przebogatą różnorodność stylu i obrazowania, cechującą arcydzieło Göthe'go. Nie chodziło mu o wyrafinowanie i niezwykłość formy, o kunsztowny dobór rymów i wybredność poetycznej frazeologji, w której kochają się niektórzy nowsi lirycy, pozbawieni zmysłu szczerości. Dzisiejszy smakosz literacki może zarzucić Krajewskiemu, że w jego przekładzie dużo jest łatwych rymów — ale za to prawie zawsze tętni w słowie i wierszu rytm wewnętrzny skojarzony z właściwą dynamiką uczuć i obrazów. To pewna, że tłumacz osiągnął wielką swobodę i płynność języka i formy, że w jego pracy nieznać mozolnej dłubaniny i braku polotu, które cechują tyle naszych przekładów arcydzieł poezji, dokonanych zresztą z wysiłkiem sumienności i dobrej woli.

Zaletą przekładu jest także zgodna z oryginałem jasność i naturalność frazowania. Jako fachowiec teatralny zaznaczam, że stanowi to ważny przymiot dla dykcji polskiej na scenie — bo wtedy aktor może podnieść ekspresję żywego słowa, nadając dobrze postawionym w zdaniu wyrazom odpowiednie akcenty logiczne i uczuciowe. Wedle słusznej zasady, ustalonej przez mistrzynię Modrzejewską, polska dykcja sceniczna nawet w miejscach najbardziej patetycznych powinna się opierać na naturalnym, odpowiednio podniesionym tonie mowy potocznej.

Nie odejmuję walorów literackich innym, nowszym przekładom „Fausta“, ale według mego przekonania praca Krajewskiego nadaje się najlepiej do interpretacji scenicznej.

Warto przypomnieć, iż w drugiej połowie i na schyłku zeszłego stulecia Krajewski był osobistością w naszym literackim świecie szanowaną i cenioną jako wytrawny publicysta w dziale ekonomicznym, dobry tłumacz także poezyj Horacego i Byrona, redaktor „Roczników gospodarstwa krajowego“. Pracując nad „Faustem“, dzielny patrjota sybirak w epoce najcięższej niewoli koił urokiem wielkiej poezji tęsknotę i gorycz wygnania.

JÓZEF KOTARBIŃSKI

NA WIDOWNI

Rzecz o kwitnieniu i upadku publicystyki. — Depresja tych, którzy byli sztucznie radośni. — Złośliwe bankructwo i alarmy o upadku duszy polskiej. — Stan publicystyki narodowej. — Tajemnica dwu stylów: organicznego i mechanicznego.

CZY istotnie publicystyka polska jest w upadku? W „Wiadomościach Literackich" widzę na czele numeru alarmistyczny tytuł „Upadek publicystyki". Nie powiedziano, o jakiej (czyjej) publicystyce mowa, autor bowiem artykułu, p. Józef Wasowski, do zabobonu posuwa ostrożność w tym względzie, żeby nie wymieniać nazwy narodu, którego językiem się posługuje. W tekście artykułu bliżej rzecz określa, jako że ten upadek nastąpił w „naszym kraju". Zjawisko tego upadku jest tem groźniejsze, że ten „nasz kraj" — zdaniem autora — żyje w czasach „wielkiego prowizorjum". Trzebaż nieszczęścia, że właśnie wtedy, gdy go najbardziej potrzeba, ten „najpierwszy sternik opinji społecznej, publicysta, utracił w naszym kraju swoje dawne znaczenie". „Byli prawdziwi publicyści w Polsce". Dziś publicysta „stał się człowiekiem wynajętym do pisania i niepowołanym do myślenia".

Indywidualność pisarza zanikła, zginęło „natchnienie, temperament, godność i rozkosz myśli niezależnej". „Wartości te zostały wyrugowane z naszej prasy przez terror politycznego prostactwa". „Publicysta dzisiejszy może tylko wypełniać schematy. Nie gra, lecz kręci korbą grającej maszyny" (katarynki?). Odpowiednio do tego publicystyka straciła zaufanie, jest nudna i niema w niej stylu. Publicysta ustąpił miejsca reporterowi. Sam „stracił ambicję, zrzekł się niezależności sądu, sam poszedł na służbę polityczną, zdeptał swoje Ja, przestał być interesujący."

Taki jest bieg myśli p. Wasowskiego, uogólnionej na cały „nasz kraj". To uogólnienie domaga się pewnego protestu, bo jest ono próbą nowej dewaluacji polskiego dobra, dokonaną tylko dlatego, żeby p. Wasowski, ze swojemi towarzyszami, czuł się w dobrem towarzystwie. W narzekaniach pana W. widzę moment wybitnie liryczny. Zupełnie słusznie stwierdza upadek rzemiosła, któremu się oddawał z udaną powagą i żarliwością od maja 1926 r. w „Nowym Kurjerze Polskim", a potem w „Epoce". Karygodny był, choć i śmieszny zarazem użytek, jaki robili tam do spółki z p. Grossternem z przewrotu majowego: p. Gros. w interesie wprost żydów, p. Wasowski — wiążąc z rewolucją dyrektywy swej loży. Nie będę jednak pisał historji ubiegania się o subsydja przy pomocy pochlebstwa w stosunku do dyktatora i jego przyjaciół, ani wysiłków tego pisma, aby przedstawić przewrót, jako nową „epokę" „prowizorjum", polegającą na wyzwoleniu ludów w „naszym kraju" według zasad polityki państwa narodowościowego i na rozgrodzeniu tego kraju w duchu paneuropejskim. Dziennik ten przytem nie umiał zatrzeć śladów, skąd brał dyrektywy i śmiano się powszechnie, jak zabawnie publicyści rzeczeni wyczekiwali na nie w razie polemiki do posiedzenia loży. Już wtedy była mowa o katarynce i wałkach w loży nabijanych, a p. Wasowski (Wassercug) kręcił fałszywe melodje ze starego repertuaru liberalno-żydowskiego z dodatkiem refrenu o genjalności Tego, który myśli za wszystkich. Nasz kraj wygrał, według tych publicystów, wielki los właśnie dlatego, że u steru znalazł się nietylko wielki strateg, ale genjalny publicysta. I oto teraz po tylu dziełach, poprawkach i wywiadach, które publicyści „sanacji" uznali za arcydzieła publicystyki, naraz dowiadujemy się, że publicystyka w „naszym kraju" jest w upadku. Przypuszczam, że w imieniu radosnej twórczości majowej zaprotestuje najbliższy współpracownik pp. Wasowskiego i Grossterna — p. Cezary Jellenta, autor niedawno wydanego dzieła o Genjalności Wielkiego Publicysty Nowej Epoki.

Melancholijna liryka pana W. jest współobjawem ogólnej depresji w obozie sanacyjnym i nowym dowodem świadomości bankructwa moralnego. Rasowa to już wada — złośliwość nawet w bankructwie. Skądże te uogólnienia na „obozy"? P. Wasowski utrzymuje, że obóz narodowy także zbankrutował. Jako żywo! Jako publicysta a zarazem krytyk literacki mogę zapewnić go, że tak nie jest. Nigdy publicystyka w Polsce nie stała tak wysoko, jak w Polsce niepodległej, a ten górny jej kurs trwa od lat kilkudziesięciu, jeszcze z czasów przed wojną.

Autor, nie dostrzegający w Polsce narodu polskiego, nie interesuje się pewno jego publicystyką; ale właśnie dlatego jest dzisiaj bankrutem, że ignorował rzeczywistość. Gdyby miał trochę kwalifikacyj istotnie publicystycznych (bo pasja oszukiwania opinji publicznej nie jest publicystyką, tylko przestępstwem), toby nie zestawiał na równi „obozów" takich, jak masońsko-żydowski z narodowym. Obóz narodowy polski jest tworem organicznym, teren polski do niego należy i on jest twórczy, a takie organizacje, jak jego, są tylko przeszkodami w życiu narodu polskiego. Przeszkody bywają duże, ale są mechaniczne i nie można ich gatunkowo zestawiać z ciałem organicznem, któremu wstręt czynią.

Naród polski ma literaturę, na jaką go stać (według stawu grobla), ale jest to literatura mająca swoją historję, więc kiedy się mówi o upadku jednego z najważniejszych tej literatury konarów — publicystyki, to trzeba dowieść, że była w Polsce dawniej wielka publicystyka, a teraz historja nie ma nic do zanotowania. Założenie takie byłoby nonsensem historycznym, trudno bowiem wyobrazić sobie fakt dziejowy, że naród, rozbrojony z państwa, w chwili krytycznej dochodzi do świadomości dziejowej, dokonywa wielkiego czynu politycznego wysiłkiem myśli politycznej, wymagającej poparcia opinji mas i całego świata, i że ten naród zdobywa się na to bez publicystyki. A ten opór dzisiaj przeciwko zjednoczonym usiłowaniom uczynienia z Polski „prowizorjum" i zniszczenia państwa, nie zawdzięcza niczego publicystyce?

Za szczęście swoje i chlubę uważałby każdy inny naród, od nas potężniejszy w kulturze, gdyby miał takich publicystów, jak Roman Dmowski. Czy p. Wasowski z p. Grossternem i z p. Jellentą wyobrażają sobie, że go usuną z widowni historycznej przez to udawane roztargnienie swoje, albo zapewnienie, że w Polsce niema publicystyki?

Mam nawet prawo ująć się za sobą. Któż to mnie, gdym pisał artykuły, rozprawy i książki publicystyczne, dyktował myśli i wiódł, zawiązawszy oczy? Pole myślenia na obszarze zagadnień narodowych porasta nieprzebraną ilością motywów i daje możność rozrastania się indywidualnościom, bo to

jest życie samo, czego nie można powiedzieć o doktrynach, które są wałkami katarynkowemi. Z tego pola co Prus i Świętochowski (wspominani przez p. Wasowskiego), wyrośli przecie tacy pisarze polityczni, jak J. L. Popławski, Z. Balicki, a obok trochę wcześniej — przytaczam przykładowo: M. Bobrzyński, W. Dzieduszycki, Józef Milewski i in., każdy z innego obozu, ale wszyscy narodowi, samodzielnie myślący.

Nie można jednak porównywać publicystyki dziennikarskiej XIX wieku i obecnej. Dzisiaj stoi ona znacznie wyżej. Istnieje zorganizowana i wykształcona polska myśl polityczna, czego dawniej nie było, w każdym razie postąpiła metoda myślenia politycznego o Polsce. I to właśnie najwięcej zniechęca obóz międzynarodowy do polskiej rzeczywistości duchowej. Głosi się tedy upadek. Nie pisano dawniej tak fachowo o polityce polskiej, jak dzisiaj pisują w prasie, dajmy na to, nie mówiąc o Dmowskim: St. Grabski, St. Kozicki, M. Seyda, R. Rybarski, St. Stroński, B. Koskowski, St. Pieńkowski. Pozostawią oni po sobie dzieła w literaturze politycznej. Nie mówię o jakimś ścisłym terenie partyjnem. Czy tak często zjawia się równie świetny publicysta, jak Adolf Nowaczyński? Potrafiłbym wskazać daleko od siebie w obozie socjalistycznem pisarzy takich, jak Władysław Wolert, który w charakterze publicysty pracując, potrafił wydać natchnione szczerą troską o cywilizację polską wielkie dzieło „Demokracja i kultura".

O podnoszeniu się poziomu publicystyki polskiej wogóle świadczy udział w niej piór kobiecych (Iza Moszczeńska, Irena Panenkowa i in.) Rozwinęły się też znakomicie specjalne działy publicystyki do poziomu, jakiego dawniej życie umysłowe polskie nie znało. Mam na myśli dziedziny spraw gospodarczych, a zwłaszcza wychowania narodowego, dwóch podstawowych dyscyplin publicystycznego myślenia. Społeczeństwo, nie zdające sobie sprawy z tego, co robi ze swojem bogactwem w rzeczach i ludziach, nie ma żadnych danych do wytwarzania publicystyki politycznej.

Pan Wasowski jest publicystą, powołanym do „mącenia narodowej kadzi", ale wielu rzeczy nie rozumie, bo nie ma wyczucia tego, co jest życiem organicznem narodu. Wydaje mu się, że można sobie nadać styl publicysty (wielki styl) przez zdobienie prozy cytatami z Wyspiańskiego i z encyklopedji. To jest tylko perfumowanie szaty, ale jak jest z ciałem? Styl jest własnością treści, własnocią organiczną. Cały swój artykuł o upadku publicystyki w Polsce dorobił do pięknych przytoczeń z Ernesta Hello o dwu gatunkach stylu pisarskiego: organicznym i mechanicznym. Ale p. Wasowski nigdy nie zrozumie, na czem to rozróżnienie polega.

Między temi stylami leży różnica o całego człowieka. Styl zależy od stosunku do rzeczy, którą pisarz wyznaje. Najbardziej wyniszczony duchowo pisarz, w najgłębszym upadku — mieliśmy przykłady — zyskuje styl, gdy mu się zdarzy pisać o matce, którą kochał. Pisarz poruszyć musi w sobie całego człowieka, żeby mieć styl: nie peryferję mózgu, jak reporter, ale głębię instynktów, przywiązań i dążeń swoich życiowych. Styl jest organiczny, gdy pisarz tworzy organicznie związek z życiem organicznem. Dusza rozpróżniaczona, umysł traktujący rzecz zdawkowo i zewnętrznie, umysł kombinujący dowcipnie kłamstwo, — może mieć styl tylko mechaniczny.

O stylu Dmowskiego można pisać studja literackie, pomimo że jest to styl prosty i przejrzysty, pozbawiony kwiecistych dekoracyj i cytat, o pisarzu mechanicznym zaś ani historja, ani krytyka literacka nie będą miały nic do powiedzenia, bo to jest namiastka ducha.

Są dwa gatunki publicystów: którzy piszą krwią i którzy styl fabrykują mechanicznie. Publicystyka należy do procesów pracy, zwanej twórczością, dzieli los natchnień organicznych. Twórczość dziejowa narodu jest tą żywiącą dusze ludzkie inspiratorką. Oddana narodowi sfera oświecona jest stałym jego publicystą. Może nawet chwilowo braknąć pisarzy — to nie jest rzecz zasadnicza: myśl narodu wypowiedzieć może mąż stanu, żołnierz, kaznodzieja; nie wypowie jej dusza literacka, narodowi obca.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

LUCUS A NON LUCENDO

Co PEWIEN czas zgłaszają się do mnie młodzi historycy z prośbą o wskazówki co do materjałów, tyczących się Sejmu czteroletniego. Odsyłam ich z kwitkiem, a raczej z przekazem na „Barany" czy „Jagnię".

„*Pater, nimis peccavi*", mówię każdemu. 25 lat temu, dopuszczony pod egidą profesora Szymona Askenazego do archiwum niegdyś wilanowskiego hr. Potockich, wysmażyłem na jego podstawie nietylko słabszą — jak mi się wydaje — monografję o Ignacym Potockim, ale i jędrniejszą ponoć rzecz o Ksawerym Branickim, potworze kastowości, klanowości i warcholstwa. Skutek był niezawodny. Odtąd przez blisko już ćwierćwiecze archiwum pod „Jagnięciem", skatalogowane przez p. Piottucha, zamknięte jest na cztery spusty przed badaczami i społeczeństwem. A śpią w niem takie skarby, niewyzyskane przez Kalinkę, jak korespondencja Sejmu czteroletniego (częściowo w żargonie masońskim), jak djalogi króla z Branickim czy Repninem (które tu jakimś cudem zawędrowały z pobliskiego archiwum Czartoryskich), jak ważne akta do ciemnej sprawy Dogrumowej, jak pierwszorzędne dla spraw wolnomularskich archiwum Eljasza Aloï *vel* d'Aloy, zapisane Potockim przez siostrzenicę jego Tarnowską, jak archiwum podhoreckie Rzewuskich (zapisane przez Leona, syna Emira), jak...

Wszystkie te skarby zupełnie są niedostępne dla odrodzić się mającego z błędów historycznych społeczeństwa: za grzech młodości jednego niesprawiedliwego karze się cały naród.

Tak samo magnaterja nasza „marynuje" korespondencję marszałkowstwa Stanisł. Lubomirskich z Łańcuta, listy Wincentego i Zygmunta Krasińskich, spuściznę po Szczęsnym Potockim, Adamie K. Czartoryskim, Edwardzie Raczyńskim, Aleksandrze Wielopolskim i w. in. Archiwum St. Augusta u Popielów dopieroco ukończyło wieloletnią kwarantannę. Mało jest mecenasów światłych, jak Edward Krasiński, co całem życiem zdaje się wołać: *Fiat lux*. Ks. Roman Sanguszko dopiero porządkuje i zapowiada otwarcie swojej odnogi archiwum podhoreckiego, bogatej zwłaszcza w „*alchemica*". Hr. Karol Lanckoroński otwiera dostęp do innego ar-

chiwum Rzewuskich, w Wiedniu. Sapiehowie składają rodzinne skarby swoje w Ossolineum.

Nie są to warunki normalne. Oczywiście nie kwestjonuje nikt prawa własności posesorów i depozytarjuszy, ale zasiedzenie całej prawie naszej archiwalistyki przedrozbiorowej (wyjątek główny stanowią zbiory ks. Adama Czartoryskiego w Krakowie), zaszpuntowanie dyplomatyki Sejmu Wielkiego gwoli dobrej sławy (!) Szczęsnych i Branickich, *Todtschweigen* nawet takiej postaci, jak Margrabia (poza jedyną ingerencją profesora Askenazego) — to są potworności.

Niechby no młody ks. Otto Bismarck spróbował robić taki kordon lub pustynię względem swojego dziada, niechby Talleyrandzi zaczęli się wstydzić Talleyranda, Metternichowie Metternicha, tożby w Niemczech i Francji zrobił się hałas. Czas już pozdejmować listki figowe z drzew genealogicznych.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

SKONFISKOWANE

NIEPOKOJĄCE WYNURZENIA

AMBICJĄ każdej niemal szkoły średniej, ambicją zdrową, pożyteczną i godną poparcia, jest wydawanie własnej gazetki. Młodzież wypowiada w niej swoje zainteresowania, myśli, pragnienia, przez gazetkę nawiązuje kontakt ze szkołami z różnych stron Polski, a przez zdrową rywalizację kształci język, poczucie smaku estetycznego, krytycyzm. Gazetka jest również odbiciem nastrojów danej szkoły, odzwierciadla jej poziom, jej ducha, pozwala scharakteryzować zespół profesorski, którego poglądy młodzież niejednokrotnie powtarza. Ale aby pożyteczną była, aby prowadziła dusze młodzieży na szlaki jasne, proste, ku dobru i prawdzie wiodące, aby była czynnikiem twórczym, a nie wnoszącym rozkład w młodociane społeczeństwo, musi być pod opieką starszych, nie mających na oku jedynie surowej kontroli, nie tłumiących samodzielności, oryginalności, ale którzyby życzliwą, serdeczną radą pomagali młodzieńczej redakcji w kierowaniu gazetką, którzyby czuwali, aby na jej szpaltach nie pojawiały się obok myśli pięknych, zapalnych, gorących wielkiem umiłowaniem, chwasty i badyle, o trującem, groźnem działaniu.

W „Naszym widnokręgu — miesięczniku młodzieży liceum Krzemienieckiego“ w Nr. 7 pojawił się artykuł, który może poważnie zaniepokoić opinję publiczną, być podstawą smutnych wniosków.

W artykule p. t. „Medytacje na temat X — filozofja wieku przejściowego“ autor stwierdza na wstępie nieprzeparte jakoby dążenie młodzieży do poznania życia, które ujmuje tylko ze strony zjawisk natury erotycznej i stwierdza z ironją, że starsi, tak dla dzieci jak i dla starszej młodzieży, mają jedną odpowiedź: nie wolno pytać, nie wolno patrzeć. Tu nie bez racji mówi autor, że dziecko pozostawione sobie, samo szuka odpowiedzi, a kiedy dojdzie do lat 20, chce poznać wszystko, nawet najohydniejsze, ale jeszcze i wtedy w poprzek temu pragnieniu staje zakaz starszych: nie wolno!

Jednak młody nie usłucha tego zakazu, wołając: „było mnie przedtem nauczyć myśleć i pragnąć, od podstaw, a nie od szczytu, od fundamentu, a nie

od dachu zaczynać budować". Na tem kończą się myśli, którym rację przyznać trzeba. Czytamy bowiem dalej, że młodzież niepotrzebnie patrzy na siebie z punktu widzenia starszych, gdy tymczasem „wzór nam nie potrzebny bo jest naśladownictwem, a naśladownictwo — tyranją ducha" i kiedy młodzież zwraca się do starszych, by ją nauczyli myśleć i pragnąć, to nie chce wzoru, ale wytycznych, „bo wzór i przepis to niewola, a my jesteśmy chyba zwolennikami liberalizmu". Starsi nie chcą przyznać, że młodzież ma więcej krytycyzmu od starszych, że szybko spostrzega śmieszność starszego i kiedy młodzież wyrwie się z pod władzy, starszy będzie „przyczyną strasznego skutku".

Ci niezadowoleni stwarzają postęp — synonim młodości, bo „chcą myśleć krytycznie i postępować odrębnie, łamiąc często zwyczaje uznane przez większość za święte. Takim winna przysługiwać szeroka swoboda w oburzaniu opinji publicznej".

Redakcja umieszczając ten artykuł, sama czuła nieco zażenowania i dlatego opatrzyła go dopiskiem, iż „uświadomiła sobie należycie niebezpieczeństwo zarzutów, na jakie się naraża", ale sądzi, że „przynajmniej na gruncie licealnym niebezpieczeństwo owo nie grozi nam". Zna bowiem dobrze swoją młodzież i wie, że artykuł ten zrozumie „nie jako demagogiczną propagandę swawoli, lecz jako protest przeciwko zakłamaniom życia i szukanie drogi do Prawdy".

Czy nie byłoby jednak lepiej, żeby redakcja, której skład nie jest podany, zamiast uwagi wcale niewyjaśniającej jej stanowiska, odrazu odpowiedziała była autorowi, jeżeli uważała za odpowiednie wydrukować jego artykuł, że stawianie wzorów, ideałów przed oczy, czy to gromadzie, czy jednostce nie jest zaprzeczeniem postępu, ale przeciwnie jest koniecznym jego warunkiem w jakiejkolwiek dziedzinie życia, a zwłaszcza w tej najważniejszej, o której autor mówi — dziedzinie moralnej. Im wzór wyższy, bliższy ideałowi, tem wymaga od nas większego wysiłku, zapala nas do szlachetniejszych wzlotów, czego dowodem święci, zapatrzeni w niedościgły wzór — Chrystusa, bohaterzy nawet w ludzkiem rozumieniu.

Powiedzieć należało autorowi, że młodzież ma dużo spostrzegawczości, pochwyci łatwo śmieszność, ale nie zawsze ma dość krytycyzmu, wyrobionego nietylko na podstawie umiejętności logicznego wnioskowania, ale i na mocy zdobytego doświadczenia życiowego. Wreszcie, powiedzieć należało, że postęp to nie to samo, co zmiana, co postępowanie odrębne, bo w takim razie pionierami postępu byliby szaleńcy, ale postęp to praca nad tem, aby coraz lepiej ludziom było na świecie, aby stawali się ludźmi w pełnem tego słowa znaczeniu, o szlachetnych dążeniach i umiłowaniach, kulturalnym sposobie życia, aby właśnie zbliżali się do najwyższego Wzoru, jakim jest Ideał prawdy, dobra i piękna — Bóg.

Bez tego wytłumaczenia, mimo dopisku redakcji, numer „Naszego Widnokręgu", rozchodząc się po szkołach polskich budzi zdziwienie, niesmak, niepokój, czy jest to głos odosobniony, czy jest wyrazem przekonań młodzieży licealnej, która za lat parę stanie do pracy nad budowaniem życia polskiego, mając sama w duszy zamęt, chaos, grożący burzą.

DR. M. S.

NAUKA I LITERATURA

DZIEJE FIZYKI

POLSKA literatura popularno-naukowa, zwłaszcza w dziedzinie nauk ścisłych, jest nadzwyczaj uboga. Podczas gdy na Zachodzie wszystkie większe odkrycia w zakresie fizyki, chemji, astronomji i in. udostępniane są szerokiemu ogółowi zarówno z punktu widzenia rzeczowego, jak i historycznego, u nas odpowiednich dzieł odczuwa się brak dotkliwy. Dlatego należy z radością powitać pojawienie się zbiorowego dzieła, poświęconego dziejom fizyki, które ukazuje nam dalekie i głębokie perspektywy dziejowe walki człowieka o wykrycie praw, rządzących przyrodą [1]).

Jak zaznaczono w przedmowie, nowe wydanie tej książki uległo gruntownym zmianom. Poprzednio nosiła ona charakter wypisów z dzieł najznakomitszych fizyków, co czyniło ją trudniej dostępną, mimo dołączonych uwag i komentarzy. W wydaniu drugiem zamieszczono liczne artykuły (zwłaszcza w drugim tomie), wiążące poszczególne wyjątki w całość logiczną i historyczną.

Współczesna myśl naukowa rozwija się tak wartko, że z trudnością można nadążyć w śledzeniu jej postępów. W przeciągu trzech dziesięcioleci bieżącego wieku zachwiały się wyobrażenia i teorje, które uważano już za niewzruszone, mechanika newtonowska, teorja falowa światła i in. Światopogląd fizyka uległ potężnym przeobrażeniom, które ogół inteligentny zna zaledwie z nazwy (teorja względności, teorja kwantów energji, de Broglie'owskie fale materji, mechanika undulacyjna i in.). Przeobrażenia te sięgają tak głęboko, do samych podstaw poznania i rzeczywistości, że wywołać musiały zarazem ogromne zainteresowanie filozofów i wydaje się wprost niedopuszczalne, by człowiek inteligentny nie miał o nich choć ogólnego pojęcia. W ostatnich latach zaatakowana została poważnie nawet sama zasada przyczynowości (zasada niewyznaczalności Heisenberg'a), w związku z badaniami nad fizyką atomową. Wszystkie te nadzwyczaj trudne zagadnienia omówiono w sposób przystępny w drugim tomie „Dziejów Rozwoju Fizyki". Czytelnik znajdzie tam także szereg zajmujących rozdziałów, dotyczących badań nad widmem fal elektromagnetycznych, aż do promieniowania kosmicznego włącznie (wyjaśni mu to znaczenie tak popularnych dzisiaj „lotów w stratosferę"), a także rozdziały, poświęcone kwestjom częściowo może lepiej spopularyzowanym, jak promieniotwórczość, zotopja, rozpad atomów, budowa atomu.

Materjał poznawczy, przesuwający się przed nami, gdy czytamy „Dzieje Rozwoju Fizyki", jest olbrzymi, Ile wysiłków, jakie mozolne próby wyjaśnienia mroków niewiedzy — od czasów Arystotelesa i Archimedesa, poprzez wieki średnie, poprzez cudowną epokę odrodzenia, przez wiek XIX, pamiętny tyloma wielkiemi odkryciami, aż do dni dzisiejszych. Niezmiernie interesujący jest także materjał biograficzny. Czytając życiorysy Newton'a, Faraday'a, Piotra Curie i in., mimowoli pochylamy głowy przed dostojnością tych postaci, których całe życie, pełne nieraz udręczeń i przeciwności, poświęcone było nauce, z wytrwałością, zaparciem się siebie i hartem, godnym najwyższego podziwu i naśladowania. Dlatego książka omawiana, która znaleść się powinna nietylko w rękach każdego miłośnika

[1]) „Dzieje Rozwoju Fizyki w zarysach". Opracowali dr. M. Grotowski, M. Sadzewiczowa, dr. W. Werner i dr. S. Ziemecki. Wydanie drugie, całkowicie przerobione. Tom I. Mechanika, Ruch falowy, Ciepło, Teorja kinetyczna gazów. Str. VIII — 430, 79 rysunków, 10 portretów. Tom II Elektryczność i Magnetyzm, Optyka, Budowa Materji. 704, 214 rysunków. 14 portretów. Warszawa 1931. Nakładem Redakcji „Mathesis Polskiej". Skład główny w Książnicy — Atlas T. N. S. W.

przyrody, lecz także w rękach każdego, kogo interesują dzieje kultury, posiada również wielkie znaczenie pedagogiczne i może być gorąco polecona starszej młodzieży, dla której pierwotnie była przedewszystkiem przeznaczona. Niejednego z czytelników wprawią może w zdumienie trudności i mozół, połączony z badaniami naukowemi. Newton i Huygens, zmożeni chorobą wskutek wyczerpania pracą naukową, nie są przecież wyjątkami. Ludzkość odnosi nieobliczalne korzyści z pracy genjalnych idealistów, lecz często nietylko ich nie wynagradza, lecz nawet nie czyni nic, by im tę pracę ułatwić. Z uczuciem podziwu czytamy opis „laboratorjum", w którem p. Marja Skłodowska-Curie dokonała wraz ze swym mężem najdonioślejszych odkryć w dziedzinie promieniotwórczości; wedle słów pani Curie: „... (była to szopa), w której latem niemiłosiernie piekło słońce, a zimą słabo ogrzewał piecyk żelazny, — bez podłogi, o oszklonym dachu, niedostatecznie chroniącym nas przed niepogodą, — spędziliśmy (w niej) najszczęśliwsze lata naszego istnienia, poświęcając się całkowicie pracy bez wytchnienia... Cały inwentarz składał się ze starych, zużytych stołów jodłowych, na których rozkładałam cenne odłamki koncentracji radu...".

Społeczeństwo nie może być obojętne na los uczonych, którzy, zapominając o potrzebach osobistych, cały swój czas i wysiłek oddają pracy dla ogółu. „Dzieje Rozwoju Fizyki", są przez to także godne najszerszego rozpowszechnienia, że zbliżają ku nam postacie wielkich badaczy, czynią je zrozumiałemi dla nas, a nieraz napawają czcią głęboką dla nich. Znadujemy tam także biografje i wyjątki z prac najznakomitszych polskich uczonych. Również w rozdziałach o charakterze historyczno-naukowym polski dorobek twórczy został uwzględniony o ile możności jaknajszerzej.

JEREMI WASIUTYŃSKI

O GALICYJSKIEM MIASTECZKU

JERZY Bandrowski dał się jeszcze przed wojną poznać, jako bystry obserwator i prześmiewca stosunków galicyjskich. Tom jego nowel, na tem tle osnutych, zaginął w rękopisie na początku wojny, a nikt—ani autor, ani wydawca żaden nie pokusił się o to, by zebrać w jedną całość owe *disiecta membra*, które zdążyły ukazać się po pismach. Stratę powetował sam Bandrowski wracając do tematu swego w parę lat po wojnie — jednakże już tło i chronologję nieco odmienił, posunął je naprzód i pogłębił o te przeżycia, jakich doznała Galicja podczas wyzwolenia się Polski i po utrwaleniu się niepodległości. Epokę marek, sacharyny, namiastek i amerykańskiej bielizny uwiecznił w powieści — a raczej obrazku rodzajowym p. t. „W białem miasteczku" (Wydawnictwo Polskie, Poznań).

Jest to jakby polski „Herman i Dorota"— tylko że bez Hermana i bez Doroty, bo za epizod należy uważać jedyną szerzej rozwiniętą intrygą miłosną, uosobioną w panuie Elzie Majsztrykiewiczównie („która jest właściwie panną Elzą Korzineck" niewiedzić tylko, mężatka czy wdowa, bo o mężu, ledwo go poślubiła, słuch zaginął na wojnie). Pozatem mamy tu całą galerję typów, wśród których nie brak oczywiście aptekarzy, lekarza, księdza dziekana, oraz starszyzny miejskiej, patronującej całej rzeszy „gulonów". W głowach tych, zacnych skądinąd, ale niezawsze tęgich umysłowo ludzi pokutują jeszcze często-gęsto różne nawykli c. k. galicyjskie — dopiero zwolna wytwarza się ferment młodego pokolenia, które już myśleć zaczyna prawdziwie po polsku. To samo tło — ale już szersze, daleko na wieś zachodzące — nakreślił Bandrowski w „Przygodach komendanta Wilczka" (R. Wegner, Poznań). Jest to zbiór opowiadań — przeważnie humorystycznych — o sposobach, na jakie brał się dzielny przodownik policji, by schwytać i unieszkodliwić różnych mniejszych i większych drapichrustów, posługujących się nieraz bardzo wyszukanemi fortelami. Kilka z tych nowel, pisanych już w tonie poważnym — przedstawia dzieje bandyckich rozbojów, jakie wskutek opieszałości władz szerzyły się na terenie Wschodniej Małopolski.

Aluzje pewne do galicyjsko - małomiasteczkowych stosunków znaleźć można w zbiorze nowel Bandrowskiego p. t. „Wieś czternastej mili" (Księgarnia św. Wojciecha), choć autor „Krwawej chmury" i „Lintanga" znów nas zaprowadził w tak wybornie znane środowisko chińskie. Najdłuższa w tym zbiorze nowel opowiada nam o „uczonym doktorze literatury" Tu-Wangu, który zasklepiwszy się w zapleśniałej formalistyce okresu cesarskiego i pracowicie zdając nikomu na nic nie potrzebne egzaminy celem zdobycia szczebla hierarchicznego (złoty guzik mandaryński jest jego marzeniem, jak w b. Galicji mawiano o złotym kołnierzu) staje, się zgoła niezdolny do zrozumienia życia, tem mniej zaś do zrozumienia nowej ery, jaka nastała w jego państwie. A i inne szczegóły z życia „Wsi czternastej mili", odradzającej się po wojnie, żywcem przypominają nasze życie prowincjonalne.

Jak wiadomo, Bandrowski znalazł sobie ostatniemi czasy inny teren kopalniany dla swych powieści. „Sosenki wśród wydm"—zbiór prześlicznych opowiadań kaszubskich— stanowi jakby dokończenie „Trylogji morskiej", której ogniwami poprzedniemi były: „Zolojka" i „Na polskiej fali". Talent Jerzego Bandrowskiego bujny jest i wielostronny.

J. B.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród wydawnictw, poświęconych uczczeniu dziesiątej rocznicy, gdy w wykonaniu plebiscytu część Śląska została przywrócona Polsce, zaznacza się dodatnio broszura Stanisława Sopickiego „Polska a Niemcy", wydana w Krakowie, skład główny w Księgarni Krakowskiej, ul. św. Krzyża 13. Wedle pierwotnego Traktatu Wersalskiego, mocarstwa koalicyjne przyznawały Polsce Górny Śląsk bez plebiscytu, jednak Lloyd George, mimo sprzeciwu przedstawicieli Polski, Dmowskiego i Paderewskiego, poparł tezy niemieckie. Poprzednio już postanowiono, że plebiscyt odbędzie się na Warmji i Mazurach, na Śląsku Cieszyńskim, na Spiszu i Orawie, choć równocześnie bez plebiscytu ustalono granice kilku innych państw. Najwybitniejszy działacz polski, jakiego ziemia śląska wydała, Wojciech Korfanty, mianowany komisarzem plebiscytowym, pracował całe lata przed wojną dla narodowego odrodzenia i uświadomienia ludu. Niestety w okresie plebiscytu inteligencja polska na Śląsku była nieliczna, a znaczna część robotniczej ludności pozostawała pod wpływem katolickich organizacyj niemieckich i olbrzymiego aparatu administracyjnego i agitacyjnego niemieckiego. W toku przygotowań do plebiscytu lud porywa się do broni przeciw Niemcom, a walki te powstańcze wiążą się z trudnościami wojny, którą Polska równocześnie prowadzi z Rosją Sowiecką. Bolszewicy stoją niemal pod Warszawą. W rezultacie plebiscytu zostaje Śląsk podzielony na dwie części. Znacznie mniejszą część, zaledwie około 30 procent obszaru, otrzymuje Polska, 70 procent Niemcy. Poprzednio, w czasie trwania zaboru, był Śląsk, tak jak i Wielkopolska i Pomorze, złączony z państwem niemieckiem tysiącami ustaw i węzłami gospodarczemi. Od chwili plebiscytu różnice dzielące ziemie zachodnie od reszty Polski szybko się zacieniają. Broszura p. Sopickiego przedstawia w sposób popularny i przejrzysty przebieg toczących się od wieków walk Polski przeciw naporowi niemieckiemu na wschód, i zapoznaje czytelnika z obecnemi na Śląsku stosunkami gospodarczemi. (A. W.)

*

W roku bieżącym święciła 20-lecie istnienia druga drużyna harcerska, mająca gniazdo w szkole im. Jana Zamoyskiego w Warszawie, a od swego patrona nosząca popularną nazwę „Reytaniaków". Tej to drużynie, która od pierwszych chwil swego sformowania dawała Polsce dzielnych bojowników i obrońców (już w r. 1915 zmarł w Orle w 3-cim roku katorgi druh Alfons Borkiewicz, a w następnych latach szereg członków drużyny poległ śmiercią żołnierską za Ojczyznę) piękny podarek jubileuszowy złożył długoletni jej kierownik, Stefan Łoś, ogłaszając miłą książeczkę p. t. „Strażnica" (Książnica-Atlas, 1931, Bibljoteka Iskier) Nie jest to pierwsza praca literacka młodego autora. Dał się on już poznać szeregiem barwnych fejletonów o Ameryce połu-

duiowej, przedewszystkiem jednak zasłynął między harcerzami jako dowcipny piosenkarz i gawędziarz obozowy. Życie obozu harcerskiego jest właśnie tłem „Strażnicy" — ale tylko tłem, nie samą treścią. Na fabułę powieściową składają się zdarzenia z czasów — już na szczęście minionych — gdy na kresach grasowały bandy dywersantów, nasyłane z za kordonu przez Rosję bolszewicką, a popierane przez szumowiny ludności tubylczej, głównie zaś przez żydów. Napad takiej właśnie bandy dywersyjnej przypada na czas, gdy w mieścinie kresowej znaleźli się harcerze. Ci, mając na oku znajomego żyda Wejnberga (gospodarującego w „chrześcijańskiej" cukierni), nieznacznie wyśledzili, co się święci i udaremnili zamiary bandytów, stawiając im opór niespodziany i zawiadamiając władze; zasługę ponoszą tem większą, że dzięki ich czynowi nie dostają się do bolszewików ważne papiery wojskowe, skradzione z biura kapitana Konarskiego. O wszystkiem tem opowiada Łoś zajmująco, wybornym, zamaszystym stylem, zdolnym zarówno do humorystyki, jak i do kreślenia scen tragicznych. Główny bohater opowieści, druh Stach, zyskuje sobie taką sympatję czytelnika, jak nieśmiertelny Kiplingowski Kim, do którego z wielu względów jest podobny. W akcji dużą rolę odgrywa stare zamczysko — tajemnicze, ja to, o którem opowiadał Verne w najpiękniejszej swej powieści — na którego baszcie również rośnie dziwne drzewo... znikające lub wyrastające niespodzianie, gdyż tam jest czołownia dywersantów. Książka znajdzie sobie niewątpliwie wielu czytelników i to nietylko między harcerzami, dla których jest przeznaczona. (J. B.)

*

W poszukiwaniu coraz to nowych materjałów, wobec ogromnego rozwoju literatury przekładowej, trafili nasi księgarze na powieść irlandzką. Traf to ze wszech miar szczęśliwy, bo źródło jest zdrowe, pozbawione zakłamania, reklamiarstwa i krzykliwego fałszywego społecznictwa, których tak pełna jest choćby współczesna powieść niemiecka, czy amerykańska. Twórcom irlandzkim najmniej chodzi o rynek, czy o przewrócenie świata do góry nogami według własnej ulepszonej metody, a zato więcej o wypowiedzenie własnej duszy. Młoda twórczość narodu nagle obudzonego z długiego snu ukazuje niezwykłą duszę irlandzką w różnych formach artystycznych, nie dbając o modę, ani o złotego cielca obecnej kultury — współczesność. Niedawno przełożona „Opowieść bez nazwy" Dona Byrne'a reprezentuje przez treść i nastroje jakby nowy romantyzm, ale jest to swoisty romantyzm irlandzki. Pełna głębokiego liryzmu jest historja o zakonnicy, która uciekła z klasztoru, idąc za głosem świata i miłości; z walki z potęgą ślubów zakonnych wychodzi złamana, łamiąc jednocześnie życie ukochanego człowieka.

W powieści uderza odrazu bezgraniczne umiłowanie kraju rodzinnego, które każe artyście o słynnym zachodzie słońca w Neapolu pisać: „trywjalny śródziemnomorski zachód" — piękno bowiem jest tylko w Irlandji. Natura zielonego Erinu malowana jest z plastyką przedziwną. Odczuwamy głęboką wiarę artysty we wszechobecność Boga — wiara ta przenika całe dzieło. Ów element celtycki, który każe pogańskiemu Irlandczykowi tworzyć legjony duszków i demonów, urasta w zetknięciu z Bogiem w głęboki, potężny mistycyzm — nie panteistyczny, ale katolicki. Mimo to jest jeszcze fatalizm, dziwnie tajemniczy i z dziwną siłą jakby z poza wątku powieści dochodzący, na bieg jego wpływ wywierający. Brak silnego momentu zawieszenia nie osłabia napięcia, mocnego tragizmem. Bo postać tajemniczego starego pana z Dublina tchnie klasycznym tragizmem. Irlandczyk staje do walki z prawami Boga, natury i społeczeństwa i w tej walce pada. Starość niszczy ciało, a choć nie jest zdolna złamać serca, to jednak łamie je beznadziejna walka. Powieść pełna jest sprzecznych pierwiastków: fatum i katolickie ujęcie Boga, liryzm i realizm, pesymizm, który widzi Irlandję w gruzach i opuszczone siedziby starych rodów wygasłych i optymizm, płynący z ukochania piękna natury. W harmonijną całość łączy je sztuka. Naprawdę, warto byłoby zapoczątkować modę na literaturę irlandzką - dwa pokolenia twórców czekają na tłumacza. (A. M.)

*

Ukazał się drugi zeszyt wydawnictwa „Oświata Polska" — organ Wydziału Wykonawczego Zjednoczenia Polskich Towarzystw Oświatowych (Warszawa, Marszałkowska 153, m. 6).

W N-rze 2-gim „Oświaty Polskiej" pomieszczono jak zwykle szereg ciekawych artykułów, stanowiących cenny materjał dla działaczy społeczno-oświatowych, nauczycielstwa i osób, interesujących się zagadnieniem oświaty pozaszkolnej. Artykuł wstępny pióra p. Wandy Kujawskiej p. t. „Świetlice jako instytucje pracy oświatowej" porusza sprawę świetlic, zaznajamiając czytelników z różnorodnemi formami pracy świetlicowej u nas i zagranicą. Artykuł p. Jana Korneckiego p. t. „Bibljotekarstwo w Polsce" daje dokładny obraz stanu bibljotekarstwa i czytelnictwa, omawiając 5 następujących grup: 1) bibljoteki publiczne, 2) bibljoteki szkół powszechnych, 3) bibljoteki szkół średnich, 4) bibljoteki szkół nauczycielskich, oraz 5) bibljoteki wyższych zakładów naukowych. Dopełniają całości: materjały, kronika oświatowa, bibljografja i przegląd czasopism. Przedpłata roczna „Oświaty Polskiej" wynosi zł. 10.

„Poradnik Bibljoteczny" wydawany przy „Oświacie Polskiej" jako dodatek, jest miesięcznikiem, ułatwiającym wybór książek dla bibljotek. Nry 4, 5 i 6 zawierają 69 recenzyj książek dla dorosłych i młodzieży, treści religijnej, naukowej i beletrystycznej, polecanych dla bibljotek oświatowych. „Poradnik Bibljoteczny" można prenumerować oddzielnie. Przedpłata roczna wynosi zł. 2.50, cena pojedyńczego zeszytu 30 gr.

ZMARLI

Ś. P. ZYGMUNT WOLSKI

ZMARŁ w Warszawie w 69 roku życia słynny bibljofil śp. Zygmunt Wolski. Urodzony w okolicach Radzynia, kształcił się w Białej Podlaskiej, poczem ukończył wydział filologiczny w uniw. Warszawskim i Fryburskim.

Z zawodu polonista, był nauczycielem w szkołach średnich, po wojnie pełnił obowiązki inspektora szkół na prowincji. Przez kilka lat był bibljotekarzem w bibl. ordynacji Krasińskich przy Al. Rembowskim. Dał się wtedy poznać światu literackiemu, jako znakomity bibljograf, i niezmiernie uczynny współpracownik wszystkich, którzy historję literatury studjowali.

Interesował się żywo działami etnografji, dziejami druków polskich, ale zawodem jego było bibljofilstwo praktyczne. Nie tylko zawodem, ale pasją życia, przez którą — rzec można — świata nie widział. Zbiory rzadkich druków i sztychów pochłaniały wszystkie jego dochody. Ale niedostatku materjalnego nie odczuwał, żyjąc w nieustannym entuzjazmie dla książki.

Znała go cała Warszawa oświecona, znali handlarze starożytności i antykwarze. Dziwnem między nimi był zjawiskiem ten młody i szlachetny młodzieniec (zawsze był młody) ruchliwy i wesoły, w wiecznej za rzadkim drukiem pogoni. Legendarna była jego miłość dla książki, stwarzał atmosferę kultu bibljofilskiego, podnoszącą w otoczeniu wartość moralną kultury.

Księgozbiór swój, złożony z 30.000 tomów, ofiarował Bibljotece publicznej m. Warszawy, zbiory etnograficzne — Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Mało sam drukował, wszakże w dziejach literatury i kultury zajął poczesne miejsce. Pozostała po nim pamięć świetlanej smugi w szarzyźnie dni i stosunków.

LISTY DO REDAKCJI

POLSKA BIBLJOGRAFJA MORSKA

W roku ubiegłym wydrukowałem w „Kronice o Polskiem Morzu" i w osobnej odbitce „Polską Bibljografję Morską" za lata 1919-1929. (Warszawa 1930). Obecnie opracowuję, jako jej uzupełnienie, bibljografję za rok 1930. Ponieważ chodzi mi o jak najkompletniejsze wyczerpanie materjału, zwłaszcza zaś o prace, artykuły i utwory, pomieszczone w różnych czasopismach i dziennikach (nieraz trudno dostępnych), zwracam się tą drogą do Szan. autorów z prośbą o łaskawe udzielenie mi wiadomości bibljograficznej o własnych pracach, celem zużytkowania materjału w zapowiedzianem wydawnictwie.

Wszystkie redakcje proszę o łaskawy przedruk niniejszej odezwy.

Dr. Stefan Wierczyński

Poznań, ul. Fr. Ratajczaka 4—6.

OFENSYWA

DOSŁOWNIE PRZEPISANE

Motto: „Polska nie znosi żydów, ale jak żydzi nie znoszą Polski, mało kto zdaje sobie sprawę".
Antoni Słonimski

„Drażliwość żydowska nie jest lokalnym stanem zapalnym, ale płynie ona z głębokiego, przerażającego przekonania żydów o bezwzględnej wyższości „narodu wybranego"".
Antoni Słonimski

„Jeżeli jednak ktoś stojący na boku życia politycznego powie jakąś nieprzyjemną prawdę o żydach, chętnieby go ukamienowali na miejscu".
Antoni Słonimski

SZTUKA „Broux-Express" interesuje mnie ze względu na specyficzny żydowski fetor. Pragnę, aby czytelnicy moi zwrócili uwagę i przyjrzeli się procesowi wytwarzania tego chałaciarskiego smrodu. Wolno w Polsce szydzić z wszelkich świętości, odełgiwać wszelkie brednie i zabobony, ale ruszyć chałaciarza mało kto się ośmieli. Istnieje w Warszawie pismo „Nasz Przegląd", w podtytule napisano „Organ niezależnych". Jest to w rzeczywistości pismo najbardziej zależne i niewolniczo służalcze wobec ciemnoty i żydowskiego zabobonu. Pracują tam chałaciarze w marynarkach, którzy ogromnie dużo prawią o postępie i liberalizmie, ogromnie są „moderne", ciągle się tam czyta o braku kultury u innych. Ale ryba po żydowsku i szabasówka jest dla nich ostateczną wyrocznią. Dobrze się to pismo nazywa i typowo dla żydów: „nasz" przegląd. Wszystkie sprawy tego świata podlegać mogą wątpliwościom, ale „nasz" smrodek rybki, „nasz" rzezak rytualny, „nasz" opatentowany sposób maglowania trupów, to jest świętość, przed którą wszystkie szrajbełesy i futurysty cmokają z czcią i zadowoleniem.

Sztuka Dymowa [1]) ostrzega żydów amerykańskich, aby nie wyrzekali się tradycji siadania w kucki i grania na trąbkach. Żydzi bez tego mogliby stracić swój ciepły, domowy, tradycyjny smrodek. Dymow ostrzega przed złą zamianą. Nie europeizujcie się, nie amerykanizujcie się! Cóż znaczy wolność, nauka, cywilizacja, twórczość i inne tym podobne oszustwa wobec naszego smrodku? Owszem — powiada Dymow — zarabiajcie miljony, ale nie wyrzekajcie się tałesu. Z giełdy czy z fabryki, z teatru czy uniwersytetu wracajcie zawsze do tatunia i mamuni.

Widziałem niedawne film z Jolsonem: „Śpiewak z kabaretu". Znowu to samo. Młodzieniec, który wyzwolił się z więzów zabobonnej rodziny i wstępuje na scenę jako śpiewak, rzuca teatr i psuje premjerę, aby na życzenie ojca odśpiewać „*Jom-Kipur*". Woli być Jom-Kipurem, niż Janem Kiepurą. I to ma być śliczne.

Mówi się o tem, że Polacy, jeśli nawet pozwalają żydom być Polakami, to za wymówieniem. Do pewnych granic swobody wypowiadania się. Jeżeli przekroczy się tę granicę, rzekom Polak zostaje zrugany od żydów. Jest w tem sporo prawdy. Ale nie mówi się o tem, że żydzi pozwalają na tych samych warunkach być wolnomyślnym. Można być postępowym i wolnomyślnym, wolno walczyć z przesądami, jeżeli są to przesądy angielskie lub chińskie. Ale żydowski przesąd jest nietykalny. Wystarczy wspomnieć o tych sprawach, aby z niedawnego wolnomyśliciela zostać w opinji żydowskiej chuliganem.

„Nasz Przegląd", z okazji sztuki Dymowa, zasmarkał się ze wzruszenia nad rytuałem i tradycją. I któż to tak zawsze broni tego szczupaka po żydowsku? Czynią ten harmider religijny pisarze, jak to się mówi, bardzo współcześni: Appenszlak, Korczak czy Wagman. A więc nie pisarze starego pokolenia, nie ludzie, którzy nie zdołali wyzwolić się z pełnego przesądów wychowania, ale wolontarjusze, ochotnicy ciemnoty. Pisarze wychowani ponoć na tradycjach europejskich. Trudno zrozumieć ten zwrot do szanowania różnych „*Jom-Kipur*'ów". Czyżby to był zwyczajny *business*, lęk przed utratą czytelników, schlebianie zabobonnemu motłochowi? „Kurjer Warszawski", to poprostu „bezbożnik" w porównaniu do „Naszego Przeglądu"! Grzymała-Siedlecki — to Wolter w porównaniu z klerykalnymi krętaczami modernistycznego *ghetta!* W społeczeństwie polskiem klerykalizmowi (?) i szowinistycznym (?) działaczom podobno przeciwstawiali się zawsze wybitni pisarze. Wśród żydów, z wyjątkiem młodzieży o skrajnych przekonaniach komunistycznych, nikt nie ma odwagi wypowiedzieć wojny obskurantyzmowi chasydów. Można biadać nad tem, że ciemni żydzi odmawiają ciał zmarłych i nie dają zwłok do prosektorjum, ale groza bierze, gdy się pomyśli, że żydowscy studenci medycyny dyplomatycznie milczą o tej sprawie... Czyżby i oni uważali sekcję zwłok żydowskich za grzech?

Studenci żydowscy w Krakowie kupili sobie czapki korporanckie i naśladują najgłupsze (?) podobno, burszowskie błazeństwa (?). Zdawaćby się mogło, że raczej powinni we własnym interesie walczyć ze średniowieczną gminą żydowską, że powinni szukać oparcia w liberalniejszych warstwach społeczeństwa polskiego. Nie wątpię, że wśród tej młodzieży znajdują się zdecydowani postępowcy i wolnomyśliciele, ale mam wrażenie, że postępowcy ci, wychowani na rytualnej macy appenszlakowskiej, nie chcą krajać żydowskiego trupa, żeby nie robić zmartwienia mamuni i tatuniowi. A stary żyd tatunio siedzi przy stole i uśmiecha się sceptycznie.

Sceptycyzm ten dosięga niemal wszystkich rzeczy ludzkich, ale rozpływa się w ciepły i porozumiewawczy uśmiech pełen powagi, gdy na stół wjedzie koszerny szczupak. Taki młody czy stary sceptyk żydowski nie zdobędzie się na odwagę sceptycznego spojrzenia np. na rytualne męczenie zwierząt. Sceptycyzm kończy się tam, gdzie zaczyna się „nasz" smrodek.

Być może, satysfakcja sprawowania obrzędów wywodzi się z czasów prześladowań religijnych, kiedy to znajdowano podnietę w konspiracji i tajemniczości. Dziś sceptyczny Izraelita, który poważnieje przy słowach „trefne" czy „koszerne", jest już tylko irytujący i szkodliwy.

Możliwe, że Goetel [1]) chciałby zakonserwować chasyda i tworzyć rezerwaty *ghetta*, aby ten ciemny jołop nie wyginął jak żubr. Ja osobiście uważam, że trzeba co rychlej przewietrzyć tę bazę przesądnych chasydów. Żydzi polscy utrzymują we wszystkich stolicach świata konsulaty rodzimego smrodu. Kto wie zresztą, czy całe ich przywiązanie do tradycji nie opiera się trochę i na zamiłowaniu do tłustej i obfitej kuchni? Żydzi zdaje się tylko dlatego przetrwali potop, że w czasie potopu nie wyginęły ryby. Spróbujcie odebrać im rybę i czosnek, a może oprzytomnieją. Można się różnie odnosić do starych ludzi z religijnego pokolenia, można sobie wmówić, że są godni szacunku czy tolerancji, albo tego szacunku nie mieć. Ale do religijnych dziennikarskich karjerowiczów można mieć tylko stosunek wrogi. Wolę już prostego żyda, Araba czy Turka od p. Turkowa.

Łatwo przewidzieć jaki będzie rezonans tego, co tu mówię. Podniesie się raz jeszcze wrzask, że napadłem na żydów. Umiem to już na pamięć. Żydzi są krzywdzeni (?) i maltretowani (?), więc nie wolno mówić o ich stronach ujemnych. A może właśnie są tak nielubiani (?) w masie, że zamało się mówi o ich prawdziwych błędach i ciemocie, że polski antysemityzm jest tak głupi i niecelny (?). Wrogi stosunek do żydów ma u nas zresztą tylko motłoch (?). Literatura polska odznaczała się zawsze (?) życzliwością i sympatycznym stosunkiem do żydów. Ale żyd Mickiewicza, Prusa, Orzeszkowej czy Żeromskiego należy już do przeszłości. Społeczeństwo polskie idzie mimo wszystko (?) szybszym krokiem w kierunku cywilizacji. A *ghetto* jest od setek lat niezmienione.

Polska nie może się stać bezpiecznem oparciem i nietykalnym rezerwoarem rytualnych żydów. Interes państwowy jest tu interesem cywilizacyjnym nietylko naszym, ale całej kulturalnej Europy.

ADOLF NOWACZYŃSKI

[1]) „Broux-Express", grana w Ateneum.

[1]) Profesor, brat autora, twórca rezerwatu w Tatrach.

NA MARGINESIE

Wybitny mąż stanu, poseł Tadeusz Hołówko, idąc na odsiecz rządowi, wystosował do urzędników list otwarty, w którym perswaduje: 1) nie miejcie pretensji do rządu pomajowego, że wam odebrał dodatki, bo przecież, gdyby nie on, nie mielibyście przedtem wcale tych dodatków, 2) samiście sobie winni, bo was jest zadużo. Odezwa p. Hołówki tak trafiła do serca urzędników, że naradzają się 1) nad adresem do rządu majowego, w którym podziękują za danie i odebranie dodatków i 2) nad aktem skruchy, w którym błagać będą o majową redukcję. Związki pozostawiają podobno członkom wolną rękę w sprawie samorzutnego redukowania się na ochotnika. Ochotnikom nadany ma być order postronka z prawem zawieszenia się na szyi.

*

„Kurjer Poranny" obwieścił z dumą, że jest jedynym dziennikiem, wysyłanym do Pikiliszek. Biedne Pikiliszki! Nawet tam, chcianoby coś wiedzieć o tem, co się dzieje w kraju — i tak niefortunnie trafiono.

Czas
odnowić prenumeratę
na
„MYŚL NARODOWĄ"
na II półrocze,
lub kwartał III

Cena półrocznie 17 zł. kwartalnie 9 zł.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3105

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA"
SPÓŁDZ. Z ODP. UDZ.

WYSZŁY KSIĄŻKI:

Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ
CENA 3 ZŁ.

Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH
CENA 5 ZŁ.

Jan Gwalbert Pawlikowski
SPOŁECZNO - POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU
CENA 4 ZŁ.

Stefan Godlewski
WARSZAWA
CENA 5 zł.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w Domu Książki Polskiej w Warszawie, pl. Trzech Krzyży 8.

PRZECZYTAJ I ZAPAMIĘTAJ PIERWSZE LITERY, KTÓRE SĄ SKRÓTEM LINIJ LOTNICZYCH, PRZEWOŻĄCYCH LISTY, OSOBY, TOWARY.

KORZYSTAJMY WSZECHSTRONNIE Z
POLSKICH LINIJ LOTNICZYCH
„LOT"
Bydgoszcz—Katowice—Kraków—Lwów—Poznań—Warszawa—Gdańsk—Brno—Wiedeń—Galatz—Bukareszt.

Nowa książka
ROMANA DMOWSKIEGO

ŚWIAT POWOJENNY I POLSKA

Str. 384. — Cena zł. 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach, w kioskach „Ruchu" oraz w kantorze „Gazety Warszawskiej"

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.